Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

№ 14-15 — CENA 40 gr.

WARSZAWA 29-VII-1934 R.

DZIŚ W NUMERZE:

Numer dzisiejszy zawiera 16 stron.

Na żądanie naszych czytelników postanowiliśmy następne numery wydawać, jak zwykle, co tydzień.

Numer następny ukaże się regularnie w przyszły czwartek.

Jak się zaczęła wojna światowa

Dwadzieścia lat temu: feralny lipiec 1914 roku

Dwadzieścia lat temu — w niedzielę, 28 czerwca 1914 roku, student serbski, rodem z Bośni, zamordował arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, na znak protestu przeciw ciemiężeniu ludności serbskiej w monarchji austro-węgierskiej. Mord w Sarajewie był preludjum do wielkiej wojny. Niżej podajemy kronikarskie zestawienie wypadków, jakie nastąpiły od zamachu w Sarajewie do fatalnej chwili wybuchu wojny światowej.

29 CZERWCA.

Fala oburzenia, wyrażająca się w demonstracjach przeciwko Serbom, zalała Austrję. W łonie rządu zdania były podzielone. Minister spraw zagranicznych hr. Berchtold i koła wojskowe domagali się akcji bezpośredniej, natomiast Conrad v. Hetzendorf, szef sztabu generalnego, życzył sobie, aby Serbja wypowiedziała wojnę. Narada gabinetu postanowiła zaczekać na wynik śledztwa, które zostało podjęte w celu ustalenia, czy rząd serbski był „winien" w tem, co zaszło. Ambasador niemiecki we Wiedniu Tschirschky, składając wizytę kondolencyjną w imieniu swojego monarchy, znalazł cesarza Franciszka Józefa w bardzo pesymistycznym nastroju; „bardzo ponury obraz", takie było zdanie cesarza o przyszłości.

30 CZERWCA.

Berchtold oświadczył Tiszy, premjerowi i „mocnemu człowiekowi" Węgier, że zamierza skorzystać z morderstwa arcyksięcia, jako sposobności „rozrachunku z Serbją". Tisza, zdając sobie sprawę z tego, że taka polityka oznacza wojnę europejską, złożył protest u cesarza.

1 LIPCA.

Victor Neuman, publicysta, pozostający w ścisłych stosunkach z niemieckiem ministerstwem spraw zagranicznych, powiedział Hoyosowi, szefowi gabinetu Berchtolda, że gotów jest podjąć się uzyskania zapewnienia, że Niemcy „staną po stronie swoich sprzymierzeńców".

2 LIPCA.

Podczas gdy półoficjalna prasa wciąż jeszcze utrzymywała, że rząd nie zmieni swojej polityki pokojowej, Berchtold skarżył się przed Tschirschkym, że nie wie, czy może polegać na Niemcach, na co Tschirschky mu odpowiedział, że Austrja dotychczas nie wystąpiła z ostatecznym planem działania; Berlin uważałby sprawę Austrii za swoją własną, gdyby taki plan został opracowany. Franciszkowi Józefowi ambasador oświadczył, że jego cesarz „poprze każdą stanowczą decyzję Austrji".



Arcyksiążę Franciszek Ferdynand przyjeżdża do Sarajewa.

3 LIPCA.

Pogrzeb arcyksięcia we Wiedniu. Na usilne naleganie Tiszy, Berchtold zgodził się wezwać radę ministrów, by zadecydowała, co należy przedsięwziąć.

4 LIPCA.

W Petersburgu, rząd rosyjski, wyrażając swoją sympatję dla Serbji, ostrzegał jednak rząd serbski, by nie dawał sposobności do żadnej prowokacji. W nieobecności kanclerza Bethmana Holiwega i ministra spraw zagranicznych v. Jagowa, podsekretarz stanu w niemieckiem ministerstwie spraw zagranicznych, Zimmermann doradzał Austrji za pośrednictwem ambasadora austrjackiego w Berlinie, by postępowała „z największą ostrożnością". Hoyos został specjalnie wysłany do Berlina w celu zapoznania się bezpośrednio z poglądami Niemiec.

5 LIPCA.

Zimmermann powiedział Hoyosowi, że jeżeli miano zamiar zaatakować niespodzianie, to lepiejby było uczynić to zaraz, bez zwłoki. Kajzer, według relacyj ambasadora austrjackiego, zapewnił, że Austrja może liczyć na „pełne poparcie" Niemiec, nawet gdyby „wkroczyła do Serbji". Kajzer uważał, że Rosja ustosunkuje się wrogo, lecz gdyby miało dojść do wojny między Austrją a Rosją, Niemcy staną po stronie Austrji „ze swoją znaną lojalnością". Jeżeli Austrja jest rzeczywiście przekonana, że wojna z Serbją jest konieczna, on, kajzer, ubolewałby bardzo, gdyby nie wykorzystano obecnej korzystnej sposobności. O piątej popołudniu kilku ministrów wezwano do Potsdamu — stąd legenda o potsdamskiej radzie koronnej — i kajzer im oświadczył, że Niemcy „spełnią swój obowiązek, jako sprzymierzeńcy Austrji". Minister wojny, Falkenhayn nalegał, aby przedsięwzięto konieczne środki wojskowe, lecz odpowiedziano mu, że narazie to jeszcze nie jest potrzebne. Falkenhayn napisał do szefa sztabu Moltkego, że sytuacja jest „zaostrzona", lecz wobec tego, że, zanim ona zupełnie dojrzeje, pewien okres czasu jeszcze minie, nie potrzebuje skracać swojego urlopu. Potem kanclerz powrócił ze swojej wilegjatury i był wraz z Zimmermannem przyjęty przez kajzera. Wszyscy trzej zgodzili się, że „nie jest naszą sprawą dawać instrukcje naszemu sprzymierzeńcowi", lecz cesarzowi Franciszkowi Józefowi „należy dać do zrozumienia, że my nie opuścimy Austrji w jej potrzebie".

6 LIPCA.

Wczesnym rankiem kajzer przyjął przedstawicieli armji i floty i powiedział im, że nie przewiduje „poważnych komplikacyj". Mimo to wysłano depesze z ostrzeżeniami do wszystkich okrętów niemieckich na świecie. Potem kajzer wyjechał na przedtem postanowioną podróż morską na wodach Norwegji. Sam chętniej pozostałby w Berlinie, lecz, kiedy mu zwrócono uwagę, że wszelka zmiana w jego planach mogłaby spowodować zaniepokojenie zagranicy, zgodził się na wyjazd. W Londynie niemiecki ambasador, Lichnowsky, ostrzegał Sir Edwarda Greya, że zamiary Austrji są „nieco przesadne". Spodziewał się, że Grey doradzi umiarkowania w Petersburgu. Hoyos powrócił z Berlina do Wiednia.

(Dokończenie na str. 4)

Locarno Wschodnie: w ogniu dyskusji

We Francji

Londyn — Paryż i system paktów

W. Brytanja aprobuje francuski system bezpieczeństwa oparty na „paktach regjonalnych". Co to oznacza?

Ten system został w ogólnych zarysach opracowany niedawno w Genewie w związku z konwencjami, zawartemi między Moskwą, krajami bałkańskiemi i dwoma członkami Małej Ententy. Projekt tego systemu pojawił się na horyzoncie w okolicznościach, które wywołały udane oburzenie Niemiec i Włoch, a poważnie mogły Anglję zaniepokoić. Niepokój Anglji był spowodowany nagłem pojawieniem się Rosji w zespole — czy w rozgardjaszu — państw europejskich, i to zdecydowanie po stronie Francji i jej sprzymierzeńców. Czy nie wznawia się pod płaszczykiem paktów — krzyczeli przedstawiciele biur prasowych Berlina i Rzymu — okrążenia Rzeszy i polityki „zaczepnych sojuszów obronnych" z roku 1913? Zresztą jakby nie było, Sowiety nie wzbudzają w Anglji zbytniego zaufania. Anglja zawsze odczuwa potrzebę wielkiej ostrożności w tych sprawach.

Czy ta nieufność już zupełnie została rozproszona? Twierdzi się, że tak. A to ma wielkie znaczenie. Dość nam trąbiono w uszy, że Francja, zbliżając się do Sowietów, oddala się tem samem od Anglji, która dla równowagi politycznej najprawdopodobniej zbliży się do Niemiec. Sprawy zdaje się wzięły inny zupełnie obrót. Tak jak „entante cordiale" znalazła swoją drogę na szlaku przymierza francusko-rosyjskiego, tak dziś Anglja p. Baldwina słusznie interesuje się systemem bezpieczeństwa, który Francja zbudowała sobie na Wschodzie.

Lecz system paktów regjonalnych znajduje się dopiero w pierwszej fazie, jego przyszłość jest bardziej brzemienna w trudności, niż przeszłość. Przedewszystkiem chodzi o zbudowanie paktu północno-wschodniego, w którym wzięłyby udział Niemcy, Z. S. R. R., Polska, kraje bałtyckie, i któryby w ten sposób odpowiadał (bez gwarancji angielskiej) Locarnu wschodniemu. Wiadomo, że w Locarno ani Niemcy, ani Anglja nie chciały się w takim pakcie angażować. Lecz pakt Hitler-Lipski uśpił zupełnie sprawę „korytarza", a młoda przyjaźń polsko-niemiecka i zbliżenie francusko-rosyjskie zmieniły zupełnie ówczesną sytuację. Tak dalece, że dziś należy się spodziewać większego oporu w Warszawie, niż w Berlinie.

Jakie stanowisko zajmą Niemcy, trudno w tej chwili przewidzieć. Wstrząs z 29 i 30 czerwca wykazał w całej wyrazistości chwiejność tego reżimu hitlerowskiego, którego niezachwianą stałość jeszcze podczas spotkania w Wenecji podziwiać nam kazano. Führer i jego berlińscy partnerzy, widząc, że stanowisko ich jest zachwiane, stają się w sprawach polityki zagranicznej bardziej zgodni. Zbytnie zaufanie nie jest jednak w tym wypadku wskazane.

Lecz pakty są tylko paktami. Jeżeli Anglja nawraca się do tego systemu tylko po to, by Francji dać złudzenie bezpieczeństwa, a w zamian od niej żądać rozbrojenia, to takiej tranzakcji udaną nazwać nie można.

„Je suis partout", Paryż.

W Ameryce

Sukcesy dyplomatyczne Sowietów

Zdaje się, że ze wszystkich większych mocarstw jedyna Rosja Sowiecka odniosła ostatnio znaczne sukcesy w dyplomacji. Podczas, gdy inne państwa wysilały się na opracowanie nowych formuł, któreby rozwiązały nierozwiązalne zagadnienie rozbrojenia, albo też siedziały spokojnie w domu i przygotowywały się do przyszłej wojny, Sowiety zawarły szereg rzeczywistych albo potencjalnych przymierzy i w inny również sposób poprawiły swoją pozycję międzynarodową.

Wzmocniły się one na granicy zachodniej szeregiem paktów nieagresji z państwami bałtyckiemi. Donoszą, że te traktaty wkrótce zostaną zastąpione traktatami „wzajemnej pomocy", co dziś stanowi w słownictwie dyplomatycznem odpowiednik sojuszów politycznych.

Moskwa weszła również w porozumienie wojskowe z Francją i nareszcie uzyskała uznanie przez Czechosłowację i Rumunję. Uznanie przez Jugosławję jest kwestją najbliższych dni.

Znawcy polityki zagranicznej twierdzą, że Rosji nie przyjdzie z trudem przekonać i tych sojuszników Francji, by zawarli z nią pakty nieagresji. Ponieważ każde z tych państw posiada podobne traktaty z innemi państwami, to rozszerzenie się dyplomacji sowieckiej na Małą Ententę wciągnie prawie połowę Europy w sieć rosyjskiego systemu obronnego.

Moskwa zrezygnowała już z możliwości skłonienia Japonji do zawarcia z nią paktu nieagresji, ale bynajmniej nie wyrzekła się idei zbudowania sieci traktatów obronnych na terenie Pacyfiku. Pośrednio Moskwa zażądała i najprawdopodobniej otrzyma zaproszenie na najbliższą konferencję morską. Według telegramów z Rosji, rząd moskiewski zamierza zaproponować nowy układ, obejmujący obszar Pacyfiku, dla zastąpienia obecnego traktatu waszyngtońskiego, w którym Rosja udziału nie brała.

Jeżeli kiedy tyle razy przepowiadana wojna wybuchnie, szereg państw będzie zobowiązanych przyjść Rosji z pomocą, o ile ona będzie zaatakowana — albo nie będzie mogło wziąć udziału w zbiorowym ataku na Rosję Sowiecką. Bolszewicy zdają sobie widać sprawę z tego, że międzynarodówka jest wprawdzie dobrą rzeczą, ale jeżeli własne terytorjum jest zagrożone, wygodniej mieć zapewnioną pomoc wojskową swoich sąsiadów, albo ich pomoc w jakiejś innej formie. Moskwa staje się w polityce zagranicznej staroświecka.

„Then Sun", Baltimore.

W Anglji

Alarm izolacjonisty i imperjalisty

Ci, którzy wierzą, że „wspaniałe odosobnienie", może ocalić Brytanję od zgrozy nowej wojny, powinni wyruszyć natychmiast do walki.

Niech naród zawczasu wie, co go czeka. Pewnego dnia obudzimy się, by się przekonać, że dokumenty, któreśmy podpisali w imię pokoju, zmuszają nas do walczenia o sprawy, które nie są naszemi sprawami.

Niech was nie łudzą te gadania o paktach wzajemnej pomocy. Nie dajcie się wziąć na lep zapewnień sir Johna Simona, że nie przyjmujemy żadnych nowych zobowiązań. Ten pakt jest nową nazwą dla starej złej rzeczy. Jest to stara gra w nowe szatki odziana. Rosja i Francja zawarły sojusz, a to za wiedzą i z aprobatą Wielkiej Brytanji. To jest wszystko.

Jest to jeszcze raz ta sama stara kombinacja, która doprowadziła do wojny w roku 1914.

Żaden brytyjski interes nie wchodził w grę w tej wojnie. Żaden interes brytyjski nie będzie wchodził w grę w nowej wojnie, ku której nieuniknienie nas prowadzi nowy układ.

Byliśmy zmuszeni do wzięcia udziału w wojnie z 1914 roku, spowodu naszych traktatów i naszych aljansów, i będziemy zmuszeni do wzięcia udziału w nowej wojnie z tych samych powodów.

Celem sojuszu francusko-rosyjskiego jest zmuszenie Niemiec do poddania się klauzulom traktatu wersalskiego. Do tego wyłącznie przymierze to zdąża. Ale utrzymanie w mocy traktatu wersalskiego nie jest sprawą obchodzącą Anglję.

Co się tyczy twierdzeń, jakobyśmy żadnych nowych zobowiązań nie zaciągnęli, to nie wytrzymują one żadnej krytyki.

Przez przeklęty pakt Locarna jesteśmy z Francją związani spółką z nieograniczoną poręką. Teraz Francja, nasz spólnik, zaciąga nowe rozległe zobowiązania.

Jakie są przyczyny, któremi zasłaniają się nasi mężowie stanu, poruszający się w ciemności?

Walczą oni o równowagę sił w Europie. Oni tego oczywiście tak nie nazywają, ale o to właśnie im chodzi.

Uważają oni, że my musimy bronić się przed nieprzyjazną kombinacją sił w Europie, co da się uskutecznić tylko przez wejście w przymierze z mocarstwami kontynentalnemi.

To jest mylna polityka, to jest polityka katastrofalna. Taka polityka stale prowadziła w przeszłości do wojny. Doprowadzi ona napewno i w przyszłości do wojny.

Nasi politycy powiadają nam, że musimy bronić Belgji, ponieważ wrogie mocarstwo może założyć w tym kraju bazy lotnicze i może bombardować nasze wybrzeża zapomocą ciężkiej artylerji z belgijskiego wybrzeża.

Te argumenty są fałszywe, prosty zdrowy rozum, potrafi je zbić.

Na ciężką artylerję z Belgji można odpowiedzieć ciężką artylerją z naszych wybrzeży.

Co się tyczy niebezpieczeństwa ze strony aeroplanów, to ten wyświechtany argument wyciągają nasi ministrowie na usprawiedliwienie swoich powikłań kontynentalnych. Prawdą natomiast jest, że pojawienie się samolotów uczyniło imperjum brytyjskie jeszcze bardziej bezpiecznem, niż kiedykolwiek było.

Potężna obrona przeciwlotnicza jest zależna od istnienia wielkiego systemu lotnictwa handlowego. Olbrzymia rozległość brytyjskich dominjów, jest bezwzględnie pewną rękojmią, że na tych obszarach powstanie wkrótce organizacja lotnictwa cywilnego, jakiego niema w żadnej części świata.

Aeroplan przemawia raczej za izolacją. Jedna za drugą racje naszych dyplomatów na korzyść powikłań kontynentalnych, rozsypują się w proch pod uderzeniami rozsądnej krytyki.

Teraz przechodzimy do argumentów przeciw powikłaniom, do argumentów izolacjonistów. Jakież one są?

Mieszanie się w sprawy europejskie oznacza nieuniknioną wojnę.

W Europie musi nastąpić wojna. Przyczyny są zupełnie wyraźne; klauzule terytorjalne traktatu wersalskiego nie dadzą się utrzymać. Miljony ludzi czują się pokrzywdzonemi spowodu tego niesprawiedliwego traktatu. Te miljony prędzej czy później staną do walki.

Mieszanie się do spraw europejskich oddziela nas od naszych dominjów. Jest to polityka prowadząca wprost do zagłady imperjum brytyjskiego.

Naszym najoczywistszym obowiązkiem jest stanąć w polityce zagranicznej przy Stanach Zjednoczonych.

Lord Beaverbrook.

„The Sunday Express", Londyn.

W Polsce

Przemarsz wojsk sowieckich

O Locarno wschodniem mówiło się już w Europie powojennej oddawna. Dyplomacja polska uważała zresztą zawsze takie „Locarno wschodnie" za najbardziej upragniony, ostateczny podpis pod akt definitywnego uznania granic Polski. Oczywiście jednak w tych wszystkich kombinacjach nie brano w rachubę udziału w nich Sowietów jako jednego z głównych kontrahentów paktu.

Udział Sowietów w pakcie zmienia całkowicie jego oblicze i zmienić musi w dużej mierze ustosunkowanie się do niego między innemi i Polski. Niezmiernie ważnym w tem wszystkiem czynnikiem jest sprawa wielokrotnie poruszana w prasie zagranicznej — przemarszu wojsk rosyjskich przez terytorjum Polski np. na wypadek wojny francusko-niemieckiej, kiedy to Sowiety, w myśl zobowiązań tkwiących w pakcie, musiałyby od wschodu pośpieszyć na pomoc Francji. Na taką ewentualność Polska oczywiście nie może się zgodzić. Dodajmy od siebie, iż taka ewentualność przemarszu wojsk rosyjskich przez terytorjum polskie zaistnieć może i bez paktu wzajemnej pomocy. Wystarczy na to podpisanie jakiegoś paktu tego rodzaju tylko między Francją a Sowietami. Polska jako sojuszniczka Francji znalaźćby się musiała w takim razie w nielada kłopocie.

Nieprzystąpienie do paktu mogłoby też może okazać się krokiem ryzykownym. Pakt ipso facto zawierać będzie nowe gwarancje dla naszych granic zachodnich, co przecież leżeć musi w intencjach każdego rządu polskiego. Niepodpisanie paktu oznaczałoby też niepokojące rozluźnienie naszego sojuszu z Francją. Niemniejsze zastrzeżenia musiałby budzić fakt, gdybyśmy np. nie podpisali paktu tylko my i Niemcy.

„Kurjer Polski", Warszawa.

Osaczenie Niemiec — dobry pomysł

Locarno Wschodnie ma być paktem wzajemnej pomocy państw, biorących w niem udział. W razie napadu na jedno z tych państw, inne państwa przyszłyby z pomocą zbrojną napadniętemu. Pakt ma zawierać gwarancję granicy zachodniej Sowietów ze strony Francji, oraz granicy... wschodniej Niemiec. Co to znaczy? To, że Francji chodzi przedewszystkiem o *wstrzymanie zapędów imperjalistycznych Niemiec hitlerowskich i ich zaborczych planów na Wschodzie*. Locarno Wschodnie ma na celu *osaczenie Niemiec* i unieszkodliwienie militaryzmu niemieckiego. W tem ujęciu staje się zrozumiała wroga postawa Niemiec wobec Locarna Wschodniego, przychylne, prawie serdeczne przyjęcie projektu francuskiego w Rosji, a chwiejne i zakłopotane stanowisko Polski, która zagalopowała się w „przyjaźni" z hitleryzmem i teraz nie wie, jak pogodzić tę „przyjaźń" i zobowiązania z niej płynące z wyraźnie przeciwniemieckim projektem Francji.

Locarno Wschodnie, jako próba *uderzenia w militaryzm hitlerowski i poskromienia go*, jest więc pomysłem dobrym i zasługuje na poparcie.

„Robotnik", Warszawa.

Nie ułatwiajmy Niemcom wydostania się z pułapki

Berlin znalazł się chwilowo w pułapce dyplomatycznej, obawia się bowiem brutalnego odrzucenia propozycji francuskiej, nawet gdyby również Polska chciała zaryzykować twierdzenie, że zawarty z Niemcami pakt o nieagresji jest dostateczną gwarancją pokoju.

Nie przypuszczamy jednak, aby w interesie Polski leżało ułatwienie Niemcom wydostania się z tej pułapki.

Pomoc zbrojna Niemiec, względnie Rosji w razie napadu jednego z tych państw na Polskę musiałaby pociągnąć za sobą wymarsz armji brunatnej, albo też armji czerwonej na terytorjum Polski. Perspektywa tego rodzaju kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwa, związane z ewentualnemi rewindykacjami terytorjalnemi ze strony „sojuszniczych" Niemiec, albo też z ideologicznemi eksperymentami ze strony „sojuszniczej" Rosji.

Tu należy właśnie szukać rozwiązania zagadki, kryjącej się w stanowisku Polski, która obawia się jak wićać zbyt „mocnych" gwarancyj, udzielonych naraz przez obu wielkich sąsiadów i rada byłaby poprzestać na „papierowych" paktach nienapastniczych...

„Nasz Przegląd", Warszawa.



Francja: (na widok Polski w objęciach Hitlera). A przecież przyrzekałaś, że będziesz tylko **moja.** *„News of the World",* **Londyn.**

Faszyzm w krajach demokratycznych

Faszyści Stanów Zjednoczonych

Faszyzm włoski ma wielu gorących wielbicieli w Stanach Zjednoczonych wśród wyższych klas. „Kapitan przemysłu“, który zwykł był wzorować się na Napoleonie, obecnie zdradza chęć wzorowania się na Mussolinim. Rzadko kiedy obeznany jest dokładnie z faszyzmem włoskim. Ale czuje w sposób niewyraźny, że Duce zajął jakieś mocne stanowisko wobec radykalizmu, i że Stanom Zjednoczonym też przydałoby się coś w tym rodzaju. W szczególności denerwuje go działalność Kongresu, jego powolność i polityka pełna sprzeczności, i gotów jest, albo myśli, że jest gotów, porzucić zasady rządów demokratycznych na rzecz szybkiej akcji przez „mocnego“ człowieka. Dopóki wszystko idzie dobrze, ta dość rozpowszechniona postawa jest może rzeczą mało zasługującą na uwagę; ale z chwilą, gdy sprawy przyjmują zły obrót, może to się stać czemś poważnem.

Trzeba pamiętać, że w Ameryce istnieje cała serja związków faszystowskich, wszystkie mniej więcej typu Mosley'a. Są Srebrne koszule, Białe koszule, Krzyżowcy Wolności Gospodarczej, Komitet 1776 roku (rok rewolucji amerykańskiej), koszule Khaki i t. d. To są wszystko spadkobiercy duchowi Ku Klux Klan, która to organizacja faktycznie jeszcze istnieje, wprawdzie w znacznie zmniejszonym składzie członków. Stowarzyszenia te zwykle manifestują rzekomo wielkie uwielbienie dla Hitlera albo Mussoliniego, albo dla jednego i drugiego. Niektóre z tych stowarzyszeń mają według własnego twierdzenia 2.000.000 członków, a niektóre po 30.000 członków. Większość z nich nie powinna być brana zbyt poważnie.

Jakby nie było, co jest prawdą w stosunku do Wall Street i wielbicieli Mussoliniego ze sfer handlowych, jest również prawdą w stosunku do tych grup faszystowskich; w czasie wielkiego niepokoju i zamieszania mogą one stać się czynnikiem poważnym.

Należy zauważyć mimochodem, że amerykańscy radykałowie, a w szczególności komuniści, przez długi czas głośno oskarżali Roosevelta o faszyzm na tej podstawie, że wszystko, co nie jest socjalizmem, podpada pod nazwę faszyzmu. Przepowiadali oni fiasko jego polityki, o ile nie zostanie poparta siłą, i obecnie triumfują już, że ich przepowiednie jakgdyby się sprawdziły.

Jaka jest podstawa do oskarżania Roosevelta o faszyzm? Prawdą jest, że przed rokiem głównym celem jego rządu było opanowanie kapitalizmu. Zyski i ceny miały być regulowane, i zyski miały być zredukowane na rzecz powiększonych płac robotniczych. Nowy podział bogactw był kamieniem węgielnym całego planu. Uczyniono to częściowo w stosunkach między rolnictwem a przemysłem, ale nic absolutnie nie uczyniono pod tym względem w stosunku do niezamożnych, jako całości i bogatych, jako całości. Z przyczyn, które trudno byłoby na tem miejscu wyjaśnie, system kontroli nie dał spodziewanych wyników i nie można mu robić zarzutów z sukcesów, których nie osiągnął.

Prawdą jest, że Roosevelt w obecnej chwili zamierza dokonać zmiany swojej polityki. Kierunek na lewo, podjęty w pierwszym roku, ustąpił miejsca, przynajmniej czasowo, pewnemu wstrzymaniu, jeżeli nie cofnięciu się na prawo. Roosevelt niejednokrotnie oświadczał, że jest eksperymentatorem; stosuje on różne plany, i jeżeli się nie udają, to szybko odrzuca je, zamieniając na co innego. Dał on faktycznie konserwatystom kilka miesięcy czasu, ażeby pokazać, co oni potrafią zrobić. Wobec tego, że nie uczynili prawie nic, jest rzeczą naturalną, że następny krok ma znowu być uczyniony na lewo. Jeżeli to zostanie uczynione, to odebrana zostanie prawie zupełnie wszelka postawa tym, którzy wierzą, że w Ameryce tworzy się coś w rodzaju państwa korporacyjnego. Jeżeli jednak pójdzie się naprawo, to wydaje się nieuniknionem, że pewne elementy faszyzmu ukażą się na widowni. Ale będzie to wtedy niewątpliwie czemś zupełnie różnem od znanego faszyzmu, a ci, co obecnie mianują siebie faszystami, będą z tem mieli tak mało wspólnego, jak z tem, co działo się dotychczas.

„The Spectator“, Londyn.

Faszyzm francuski najbardziej reakcyjny

Każdy ruch społeczny ma swoją filozofję. Współczesne ruchy społeczne są w innem położeniu: wyprzedzają swoich myślicieli. Szkielet teoretyczny nowych reżimów jest zlepkiem dawnych doktryn: ustrój sowiecki — wypadkową doktryny Marksa i Blanqui'ego; faszyzm — doktryn Marksa, Georges Sorel'a i Ludwika Napoleona Bonapartego; narodowy socjalizm — doktryn Marksa (mimo, że się do tego nie chce przyznać) i Gobineau.

Neo-rewolucjonistom francuskim potrzebnaby była doktryna czy filozofja pozytywna. Gdzie ją znajdą? Pomiędzy ideologjami, będącemi dotychczas w obiegu, trzeba stanowczo odrzucić te wszystkie, które mają jakikolwiek związek z obecnym stanem rzeczy we Francji — to mianowicie, co możnaby nazwać ideologją „lewicową“: rozdział kościoła i państwa, prawa człowieka i obywatela, parlamentaryzm, wolność, postęp społeczny, — zawsze lewicowy etc.

Wszędzie gdzie młodzi zaczynają myśleć samodzielnie, na tych wszystkich placówkach, gdzie starają się z niepokojącą namiętnością wyrwać się spod wpływu doktryn, nie mogących zapewnić im pokoju i życia; wszędzie tam, gdzie znajduje się najżywotniejsza część młodzieży, można również natrafić na wpływy katolicyzmu.

Bo przecież, wedle słów pewnego współczesnego ateusza, Kościół ma „dwa tysiące lat psychologji i doświadczenia za sobą...“ Widać też, że młodzi podążają za nakazami Kościoła; „l'Ordre nouveau“, „Esprit“, „la Revue des Jeunes“ i tyle innych publikacyj może o tem świadczyć.

Ateistyczny w Rosji materjalistycznej, trochę mimowoli katolicki we Włoszech faszystowskich, pogański i antysemicki w Niemczech, nowy ustrój przybierze może we Francji oblicze swoiste, w którem będzie się można dopatrzyć może pewnego rodzaju nawrotu do roli najstarszej córki Kościoła. Innemi słowy, to co nazywa się, zresztą niesłusznie, „laicyzmem“ — to znaczy agnostycyzm czy obojętność w sprawach religji — zniknie; jeżeli w głębi duszy francuzi pozostaną nawet wolterjanami, duch encyklopedystów i ich następców będzie powoli wyparty ze spraw publicznych.

W ten sposób zmiany, jakie przyniesie ze sobą „faszyzm“ we Francji będą bardziej zasadnicze od tych, jakie przyniosły wszystkie poprzednie rewolucje. Większość ich nie dotyczyła przeważnie formy politycznej ustroju; faszyzm, na wypadek gdyby zapanował, pozostawi prawdopodobnie ustrój republikański; ale treść ustroju będzie całkowicie zmieniona. Zmieni się: struktura polityczna; struktura administracyjna (ponieważ wszyscy neo-rewolucjoniści, z prawej czy lewej strony, są zdecydowanymi regjonalistami i przeciwnikami centralizacji); struktura ekonomiczna; struktura socjalna, a nawet struktura duchowa, ponieważ powoli będzie wypierana ideologja „wolnej myśli“, w której atmosferze żyjemy od stu pięćdziesięciu lat.

Jednem słowem, wewnętrznem przeznaczeniem każdego faszyzmu jest wyplenienie wszystkich zdobyczy rewolucji francuskiej. Ale zwłaszcza we Francji, gdzie idee roku 1789 zakorzeniły się najgłębiej, faszyzm będzie, najprawdopodobniej, najbardziej reakcyjny...

„Avenir de la Vienne“, Poitiers.

„Ustawa o koszulach” w Szwecji

Minął rok od chwili wydania ustawy przeciw noszeniu mundurów politycznych, tak zwanej „ustawy o koszulach“, przyjętej w parlamencie niemal jednogłośnie. Obecnie można już wydać sąd o skutkach tej ustawy. Naogół były one pomyślne.

Przed wydaniem tej „ustawy o koszulach“ nie było prawie zebrania nazistów lub komunistów bez połamanych kości, a rezultatem było coraz większe zaostrzenie stosunków między różnemi obozami.

Że jednak atmosfera polityczna nie jest tak jasna, jak byłoby pożądane, wynika z faktu, że Rząd i Parlament w Szwecji uznały za wskazane wydać jeszcze jedną ustawę przeciw militaryzacji życia politycznego, tym razem w sprawie poważniejszej — uzbrojenia partyj politycznych.

Dla zrozumienia tej nowej ustawy należy ją może rozpatrywać na tle rozwoju życia politycznego w ciągu ostatnich kilku lat, niepozbawionego momentów ciekawych.

W pewnej sferze klasy średniej i wyższej w Szwecji oddawna istniała szczególna podatność na wpływy niemieckie, co w ostatnim czasie uzewnętrzniło się w przychylnej postawie względem reżimu hitlerowskiego.

Nie należy jednak brać tego ruchu zbyt poważnie.

Szwecja błogosławiona była aż trzema odmianami ruchu hitlerowskiego, które wzajemnie się zwalczają. Jedyna cecha, która jest im wszystkim wspólna, to niski poziom ich członków zarówno co do ich ilości, jak i charakteru.

Sympatycy ruchu nazistowskiego stale operują straszakiem komunistycznym, który w Szwecji ma mniejsze znaczenie, niż w każdym innym kraju. Kilka lat temu, kiedy subsydja płynęły z Moskwy bardziej oficjalnie, było trochę demonstracyj nazewnątrz: „Czerwony front“, pogłoski o czerwonych formacjach, z nocnemi ćwiczeniami wojennemi i t. p. Wiele nerwowych osób było poważnie zaniepokojonych, i w Sztokholmie utworzono nawet tajny korpus obrony oddany do dyspozycji Szefa Policji.

Można uważać za dowód silnego poczucia pewności ze strony demokracji szwedzkiej, że nie uważała za potrzebne przedsięwziąć dalszych środków bezpieczeństwa, biorąc przykład z Finlandji, gdzie zakaz dotyczy wszelkich stowarzyszeń politycznych, organizowanych na zasadach wojskowych. Hitlerowcy korzystają z wolności organizowania się, jak tylko chcą, pozbawiono ich tylko najważniejszego ich argumentu, mianowicie pałki gumowej, która dotychczas nie była przez nich uważana za broń, ale za taką uznaną została przez ustawę.

„The Manchester Guardian“, Manchester.



Matka: Dlaczego płaczesz? Kupiłam ci już karabin, pistolet, szablę, samochód opancerzony, armatę i czego jeszcze chcesz?

Dziecko: Daj mi gazów trujących!

„Guerin Meschin“, Medjolan.

Faszyzm i chrześcijaństwo

Faszyzm to pogaństwo

Modne obecnie dążenie do dyktatury nosi różne nazwy, faszyzmu, narodowego socjalizmu, bolszewizmu i tak dalej. Im więcej jednak ma nazw, tem więcej okazuje się, że jest to jedna i ta sama rzecz, mianowicie odrzucenie demokracji, wolności osobistej jako środka i jako celu samego w sobie.

Wyksztalceni przedstawiciele faszyzmu, a jest ich bardzo mało, uważają wolność za ideał możliwy i powszechny, ale zdaniem ich wolność polega tylko na panowaniu nad sobą i jest tylko wolnością od grzechu. Definicja taka umożliwia dyktatorom przedłużenie swojej dyktatury do nieskończoności i usprawiedliwia najgorszą tyranję.

Faszysta twierdzi, że wolność musi zaczekać, dopóki wszyscy członkowie państwa staną się godnymi korzystania z jej dobrodziejstw, a wtedy może ona być darowana państwu, raczej jako korporacji, niż jako zrzeszeniu poszczególnych jednostek.

Chrześcijanin mówi, że wszyscy ludzie rodzą się wolnymi i każdy musi być wolny, dopóki nie okaże się niegodnym tej wolności. Dla faszysty wolność jest korporacyjna i stanowi cel; dla chrześcijanina jest ona indywidualna i jest punktem wyjścia.

Chrześcijaństwo w myśleniu swojem wychodzi z założenia, że każdy człowiek jest dzieckiem Boga. Nie zaprzecza ono naturalnie obecnej nierówności, ale zaprzecza, że ta nierówność jest absolutna. Twierdzi natomiast, że każda jednostka ma absolutną wartość wobec Boga. Chrześcijaństwo aprobuje punkt widzenia Jules Simona, że „państwo winno pracować w tym kierunku, aby się stać zbytecznem i przygotować drogę do własnego zniknięcia“, gdyż wraz z Platonem wierzy, że różnica między państwem a jednostką jest ta, że jednostka jest wieczna, podczas gdy państwo nie jest wieczne.

Chrześcijańska nauka polityczna zawsze uważała za dobre obalanie tyranji. Św. Tomasz z Akwinu mówił, że obalenie tyrana nie jest grzechem. Jego poprzednik John z Salisbury szedł jeszcze dalej, twierdząc, że poddany, który nie usiłuje zrzucić tyrana, jest współwinny jego rządów. Chrześcijaństwo nigdy nie zmieniało tego stanowiska.

W żadnem państwie, gdzie tak zwane naturalne prawo podporządkowania jednostki państwu jest stale praktykowane, jako teoretycznie słuszna metoda rządzenia, chrześcijaństwo długo nie może istnieć. Wszystkie dyktatury faktycznie praktykują tę metodę świadomie i celowo, i dlatego właśnie żadna dyktatura nowoczesna nie uniknęła konfliktu z Kościołem.

Rosjanie byli logiczni, oni wykorzenili Kościół. Mussolini był przebiegły i skorzystał z okazji, by zawrzeć konkordat, pomimo że był zmuszony do czynienia ustępstw na wielu punktach. Hitlerowcy obecnie uwikłani są w poważne trudności z Kościołem. W Anglji, jeżeli faszyzm kiedykolwiek przyjdzie do władzy, będzie to samo.

Można usprawiedliwiać faszyzm jak się chce, faktem pozostaje, że jest on ostatniem i najgorszem pogaństwem — ubóstwianiem państwa. Jako bałwochwalstwo odrzuca on wszystko, na czem się trzyma chrześcijaństwo, negując wartość jednostki, i musi dlatego się zwrócić dla swego usprawiedliwienia do religji niechrześcijańskich. Bogiem może być Natura, albo, jak w Rosji, Wielka Sprawa. Ale w żadnym wypadku nie jest to Bóg, objawiony przez Chrystusa. Nauka Ewangelji nie jest przestrzegana w żadnym kraju na świecie. Ale tylko pod dyktaturą jest ona odrzucana teoretycznie, gdyż nie może być gorszego odrzucenia chrześcijaństwa, niż tam, gdzie słowo Państwo zastępuje słowo Jednostka. Mały chłopiec nazistowski wyraził się niedawno: „Nie kocham więcej Chrystusa, kocham Wotana“. Biedne dziecko! Ale wina nie jest jego.

Ksiądz pastor B. B. Lloyd.

„The Manchester Guardian“, Manchester.

Jak się zaczęła wojna światowa

Katastrofalne tygodnie lipca 1914

7 LIPCA.

Na posiedzeniu rady ministrów, Berchtold oświadczył, że Austrja ma zapewnioną „bezwarunkową pomoc“ Niemiec, i że Berlin doradza bezpośrednie działanie. Mimo sprzeciwu Tiszy, rzucił myśl, „marszu na Serbję“ i zgodził się na wysłanie Serbji ultimatum o ciężkich warunkach, lecz — a w tem miał za sobą i Tiszę — warunki te nie miały być niemożliwe do przyjęcia. Ta decyzja rady ministrów miała być przedłożona do aprobaty cesarzowi, który tymczasem wyjechał do Ischl.



Wilhelm II na manewrach na tydzień przed wojną. Nalewo przedstawiciel armji angielskiej, lord Lonsdale.

8 LIPCA.

Ambasador rosyjski we Wiedniu telegrafował do Petersburga, że Berchtold mu powiedział, iż Austrja napewno „nie sprowokuje konfliktu“. W Londynie ambasador rosyjski znalazł Grey'a w przygnębionym nastroju, lecz był on przekonany, że sytuacja nie będzie niebezpieczna, o ile Niemcy nie uczynią jej taką. Uważał on, że klucz sytuacji znajduje się w ręku Niemiec, i był przekonany, że nie uczyni się nic, by je „spłoszyć“.

Od połowy lipca wypadki następują po sobie tak często i tak szybko, że niesposób opisywać ich według kroniki dziennej, zamiast dni musimy teraz mierzyć wypadki na tygodnie.

8—16 LIPCA.

Ósmego lipca sytuacja była tego rodzaju, że Austrja, licząc na pełne poparcie Niemiec, a nawet zachęcana przez nie, postanowiła uczynić z zabójstwa arcyksięcia pretekst do ostatecznej rozgrywki z Serbją, co miało być jej ostatecznym wysiłkiem utrwalenia swego stanowiska, jako wielkiego mocarstwa. Mocarstwa teutońskie potrzebowały dyplomatycznego zwycięstwa i igrały niebezpieczeństwem wojny, w przekonaniu, że Wielka Brytanja i Francja zachowają swoją dotychczasową postawę niepopierania Rosji w sprawie bałkańskiej i będą unikały wojny.

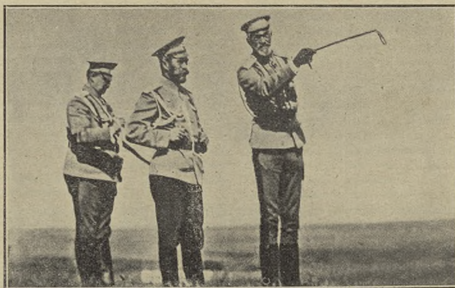
W ciągu następnych dni, mimo że oficjalny delegat śledczy wysłany do Sarajewa meldował, że „nie znalazł nawet cienia współwiny rządu serbskiego“, austrjacki minister spraw zagranicznych był zajęty przygotowywaniem noty tak ostrej, że „żaden naród, który jeszcze zachował odrobinę godności własnej, przyjąć jej nie mógł“.

Rząd niemiecki znał dobrze ton tej noty, lecz ostateczną jej redakcję mógł on, mimo usilnych nalegań, poznać dopiero 22 lipca, to znaczy w przeddzień jej wysłania. Jednak rząd niemiecki współdziałał w jej przygotowaniu, a uprzejmy minister spraw zagranicznych Niemiec studjował nawet kalendarz i poinformował swojego austrjackiego kolegę, kiedy ją ma wysłać, aby w Petersburgu o niej jeszcze nie wiedziano podczas pobytu prezydenta Republiki Francuskiej.

UPORCZYWE POGŁOSKI.

Tymczasem, około 16 lipca inne mocarstwa zaczęły traktować całą sprawę nieco poważniej i obawiać się, że angielski wiceminister Nicolson był w błędzie, kiedy 9 lipca telegrafował „spodziewam się, że burza przejdzie“. Uporczywe pogłoski o marszu Austrji na Serbję stawały się coraz bardziej dokładne i zaczęto podejmować starania w Niemczech, aby skłonić Austrję do umiarkowania, przyczem to samo doradzano Serbji.

Pobudliwy minister spraw zagranicznych Rosji, przejąwszy się podnieceniem, jakie ogarnęło jego ojczyznę, zaczął dawać do zrozumienia, że czas pomyśleć o wojskowych środkach ostrożności, lecz rozmowa z Poincaré'm, który wówczas, od 20 do 23 lipca, bawił w Petersburgu, jako gość cara, uspokoiła go nieco. Obaj mężowie stanu zgodzili się, że sytuacja jest poważna, lecz żaden z nich nie uważał ostatnich wypadków za coś więcej, niż dyplomatyczny bluff. Zgodzili się jednak i na to, że na bluff odpowiedzieć należy bluffem — w roku 1914 nazywało się to stale „stanowczością“ — i Poincaré zapewnił jeszcze raz Sazonowa o lojalności Francji względem swojego sprzymierzeńca.



Dowódcy rosyjscy: Cesarz Mikołaj II i W. ks. Mikołaj Mikołajewicz.

Notę austrjacką przedłożono 23 lipca — był to pierwszy z trzynastu fatalnych dni — a zaraz potem nastąpiła generalna ofenzywa dyplomatyczna Niemiec, które energicznie popierały austrjacki punkt widzenia i nalegały, by spór został zlokalizowany.

W Serbji zapanowała konsternacja, lecz mimo, że gabinet czuł, jak jeden z jego członków się wyraził, iż „nie pozostaje nic innego, jak umrzeć z bronią w ręku“, Serbja poszła na najdalej idące ustępstwa w swojej odpowiedzi, odmawiając tylko tego, coby oznaczało rezygnację z suwerenności.

Notę austrjacką ogólnie potępiano zagranicą, nawet niemiecki minister spraw zagranicznych znalazł, że jest ona „za ostra“. Odpowiedź Rosji była natychmiastowa. „To oznacza wojnę europejską“, osądził rosyjski minister spraw zagranicznych i zaraz potem zaczął naradzać się z rzeczoznawcami wojskowymi. Gabinet rosyjski zadecydował częściową mobilizację 24 lipca i starał się nie „zlokalizować“ sprawy, lecz „zeuropeizować“ się, do czego musiało doprowadzić inspirowanie Serbji, by nie broniła się w razie ataku, lecz odwołała się do mocarstw.



Tłum berliński wiwatuje przed pałacem kajzera.

SERBJA MOBILIZUJE.

Lecz serbowie lepiej wiedzieli, co się święci. Ogłosili oni mobilizację o czwartej popołudniu 25 lipca; w dwie godziny później minister pełnomocny Austrji otrzymał odpowiedź na notę, uznał ją za niewystarczającą w kilka minut po otrzymaniu i, ogłosiwszy, że stosunki między obydwoma państwami są zerwane, opuścił Belgrad o godzinie szóstej trzydzieści — rzeczywiście rekord szybkości. Austrja ogłosiła mobilizację przeciwko Serbji tej samej nocy (pierwszym dniem mobilizacji miał być 28 lipca), a Rosja odpowiedziała zarządzeniem częściowej mobilizacji jeszcze przed północą. Trzy państwa były już pod bronią.

Od owej nocy 25 lipca Foreign Office nie przerywał swoich wysiłków w celu skłonienia mocarstw do zachowania pokoju, a zrazu Niemcy nawet pomagały w tem. Bluff nie udał się, i koniec końców mogło dojść do wojny europejskiej, której w danej chwili Niemcy nie życzyły sobie narówni z innemi państwami. I znowu Niemcy nalegały, by sprawę „zlokalizowano“, ale teraz nie była to już sprawa między Austrją a Serbją, lecz między Rosją a Austrją.

Grey zaproponował wspólne pośrednictwo Niemiec, Francji, Anglji i Włoch, działających w porozumieniu, między Rosją a Austrją. Niemcy i Włochy przyjęły propozycję, Francja i Rosja odmówiły. Krótko przed północą Grey dowiedział się o rosyjskiej częściowej mobilizacji i o francuskich zapewnieniach o lojalności względem swoich sprzymierzeńców (rosyjskich). 26-go sytuacja była następująca: Anglja spodziewała się, że Niemcy wywrą nacisk we Wiedniu, lecz jak długo nie widziała z ich strony szczerych w tym kierunku wysiłków, nie chciała sama wstrzymywać Rosji, popieranej przez Francję.

Wiedeń wypowiedział Serbji wojnę przed

(Dokończenie na str. 5)

Indje kraj największych kontrastów

Indje biblijne

Gdzie można znaleźć postacie wcielające bohaterów powieści biblijnych? Nie w Palestynie, gdzie przeciwieństwo między żydami a arabami wiele rzeczy zaciemnia i bynajmniej nie pobudza do nastrojów biblijnych. Nowoczesność nawiedziła Palestynę i ubrała w khaki i mundury polowe takie typy, które może doskonaleby się nadawały do ilustrowania scen biblijnych.



Podczas gdy ktoś szuka w Oberammergau, gdzie w okresie przedstawień pasyjnych mieszkańcy silą się na wygląd biblijny, fotograf udaje się daleko na Wschód, i tam znajduje typy, któremi mógłby ilustrować oba testamenty.

Wspaniała głowa Chrystusa zdaje się odżyła w tej czarnowłosej głowie Hindusa, a ten starzec z białą brodą, jeżeli nie jest Piotrem, to mógłby być doskonałym Judaszem. Na ulicach Indyj łatwo będzie znaleźć madonnę o oliwkowej cerze, trzymającą z niezrównaną gracją swoje małe dzieciątko.

Żwawe osiołki galopują tu przez ulice, nie noszą na sobie oczywiście nowych zbawicieli, ale postawa jeźdźca jest zwykle taka, że może przypomnieć postawę tego, którego dwa tysiące lat temu, witano w Jerozolimie ze śpiewem hosanna!. Tu wielbłądy ciężko objuczone przeciskają się przez ciasne uliczki, ale przez ucha igielne jeszcze nie, a biblijni hindusi mają obok pewnych różnic ze swoimi poprzednikami w Palestynie tę cechę wspólną, że wi lzą sygnały czasu i nie zważają na nie.

„Der Weltspiegel", Berlin.

Salutowanie i wybóry

Jednym z głównych tematów rozmów Lorda Willingdon'a z Sir Samuelem Hoare w czasie jego pobytu w Londynie będą armaty.

Nie należy tego źle zrozumieć. Nie chodzi tu o jakieś nadzwyczajne projekty uzbrojenia artylerji Armji Brytyjskiej w Indjach.

Armaty w polityce indyjskiej mają znaczenie o wiele większe. Chodzi bowiem o salutowanie podczas wizyt jakiegoś księcia w Delhi.

Od ilości strzałów, oddanych na powitanie, zależy stanowisko księcia. Jest to naprawdę bardzo poważna sprawa i zasadnicza cecha nowej Konstytucji Federacyjnej.

Stąd też mnóstwo zazdrości i kłopotów.

Ilość strzałów, oddanych na cześć księcia indyjskiego może wynosić od 21 do 9. Kto jest zbyt małym księciem, aby otrzymać 9 strzałów, ten nic nie otrzymuje, co jest rzeczą godną litości.

Ale jest to oszczędność. Bowiem oszczędny rząd indyjski wydał dekret, według którego



każdy radża albo maharadża, przybywający do Delhi, chociaż jest uprawniony do pewnej ilości strzałów, musi sam płacić za amunicję.

Są książęta, którzy nie zapłacili jeszcze za ostatnie strzały salutowe, oddane na ich cześć.

I z tego powodu przybycie ich witane jest znaczącem milczeniem. Niema dla nich honorów, dopóki rachunek nie będzie uregulowany.

SALWY DYNASTYCZNE

Książę, który jest w szczególnej łasce, może otrzymać więcej strzałów, niż ilość, należna mu jako powitanie dynastyczne.

Ale to powitanie dynastyczne ma właśnie główne znaczenie. Jest rzeczą dość łatwą dać komuś kilka strzałów (szczególnie, jeżeli płaci rachunek). Ale zmienić hierarchję przywitań dynastycznych, to już jest rzecz trudna i bardzo delikatna.

I to właśnie jest temat, który wicekról ma omówić z Sir'em Samuelem.

Rząd indyjski w swojej mądrości proponuje, ażeby reprezentacja stanów indyjskich w Izbie Związkowej miała za podstawę podwójną kalkulację.

Główną podstawą ma być ludność. Ale państwa z 17 strzałami i więcej powinny mieć dodatkowych deputowanych, jeżeli z racji zaludnienia przysługuje im zbyt mała ilość mandatów.

I w ten sposób armaty stały się sprawą o wielkiem znaczeniu: jest to już sprawa ilości głosów.

Ilość strzałów dorównywa sile ludzkich głosów. Zaiste, najbardziej zadziwiający sposób podziału mandatów, jaki tylko kiedykolwiek mógł powstać w mózgu handlarza konstytucyjnego!

Ostatecznie powstaje szalona zazdrość po stronie państw, stosunkowo mało obdarzonych strzałami, i szalone zapotrzebowanie na jeden lub dwa dodatkowe strzały.

Rewa, naprz. ma ludności dwa razy więcej, niż Bhopal. Ale Bhopal ma prawo do 19 strzałów, a Rewa ma tylko 17. Według proponowanej ustawy Bhopal ma otrzymać dwa miejsca w każdej izbie, a Rewa tylko jedno.

Można sobie wyobrazić emocje bogatych i potężnych państw, jak Cutch i Bhavnagar, które, nie mając wcale prawa do strzałów, nie mają też żadnych przedstawicieli w parlamencie.

„Daily Herald", Londyn.

Rok 1934



Francja: Europa to ja. *„Simplicissimus", Monachjum.*

Rok 1914

(Dokończenie ze str. 4)

południem 28 lipca. Cesarz Wilhelm II był doskonale poinformowany o tem, i jeszcze przed wypowiedzeniem wojny był przygotowany do działania w duchu polityki wiedeńskiej. Telegramy między „Willy'm" a „Nicki'm" świadczą o rzetelnej woli pokoju u obu monarchów, lecz świadomość, że Rosja zyskała pięć dni w przeprowadzeniu mobilizacji przyprawiała kajzera o wściekłość. We Wiedniu jego dyplomacja nie odniosła sukcesu, zresztą sprawa była już zadecydowana 30 lipca przez rosyjską powszechną mobilizację. Bo w roku 1914 było aksjomatem, że powszechna mobilizacja oznacza wojnę.



Lord Kitchener wzywa do wstąpienia do armji ochotniczej. Afisz rekrutacyjny.

Były jeszcze i potem propozycje pokojowe, lecz decyzja przeszła w ręce sztabów generalnych. Jedynem zagadnieniem dla Niemiec było utrzymać Anglję zdala od wszystkiego, zaś dla Francji i Rosji kwestją życia i śmierci było wciągnąć Anglję. Dni między 31 lipca a 4 sierpnia były dniami szybkich, rozpaczliwych wysiłków, jedna mobilizacja następowała po drugiej, Niemcy wypowiedziały wojnę najpierw Rosji, a potem Francji.

2 sierpnia ambasador francuski, blady z oburzenia pytał, czy słowo „honor" nie zostało przypadkiem z angielskiego słownika wykreślone. Niemcy rozwiązały zagadnienie przez wystosowanie ultimatum do Belgji. Belgja formalnie zwróciła się do mocarstw, które zagwarantowały jej neutralność, a o siódmej popołudniu 4 sierpnia ambasador brytyjski przedkładał kanclerzowi niemieckiemu ultimatum rządu Wielkiej Brytanji. O północy ultimatum to wygasało. Trójporozumienie stanęło przeciw dwuprzymierzu, a „światła zaczynały nad Europą wygasać", jak ze smutkiem stwierdził Grey.

„The Observer", Londyn.

Niemcy budują łodzie podwodne

Jak długo Niemcy udawały republikę, inżynierowie niemieccy budowali w fabrykach rosyjskich łodzie podwodne, których konstrukcja zakazana była Niemcom przez Traktat Wersalski.

Od kiedy jednak Hitler wypowiedział walkę bolszewizmowi, ci sami inżynierowie urządzili się w Holandji i pracują u pobłażliwego sąsiada z Zachodu równie owocnie jak przedtem na Wschodzie. Podobno nawet dostali z Brazylji kilka zamówień na łodzie podwodne, które mają być wyposażone w najnowsze urządzenia, wynalezione przez techników niemieckich. W ten sposób trwają, dla pożytku przyszłych marynarzy podmorskich, studja i próby nad bronią, która tak okrutne zadanie spełniła podczas Wielkiej Wojny.

W Niemczech zresztą istnieje pono szkoła strzelania podmorskiego. Dawni mistrze, którzy byli komendantami „U-Boot'ów" i mogą się poszczycić pokaźną cyfrą zniszczonych torpedami czy pociskami armatniemi okrętów, nauczają młodych „towarzyszów" najlepszych sposobów obrony i ataku i najkorzystniejszego użytkowania tej niebezpiecznej broni.

„Vendémiaire", Paryż.

Miesiąc minął — lecz o krwawej

Powitanie hitlerowskie traci swój dawny dryg

Trzecia Rzesza Adolfa Hitlera może być, lub może nie być w przededniu upadku, jak to utrzymują niektórzy politycy europejscy, ale każdy turysta może łatwo zauważyć, że wykazuje ona coraz większe zmęczenie w łokciach.

Czternaście miesięcy temu, kiedy podróżowałem przez południowo-zachodnie Niemcy, przywitanie hitlerowskie — prawa ręka wyciągnięta sztywno, tworząc kąt rozwarty z ciałem — było aktem wiary, chętnie wykonywanym przez każdego patrjotycznego niemca przy lada okazji. Obecnie, nie bacząc na propagandę, ten sposób przywitania coraz więcej wychodzi z mody. A co jest bardziej jeszcze zadziwiające, to sposób, w jaki to jest wykonywane, kiedy wogóle jest wykonywane.

Obecnie tylko bardzo niewielu niemców, może kreślić coś lepszego, niż słaby kąt prosty. I nawet w tych wypadkach łokieć widocznie opada zmęczony.

UKŁON SIEDZĄCY RÓWNIEŻ SŁABY

To wszystko odnosi się do oficjalnego powitania w pozycji stojącej. Naturalnie, kiedy ktoś siedzi przed kuflem piwa, ten sposób przywitania nie jest odpowiedni, i dlatego dla takich wypadków ustalony został inny, mniej formalny, krótszy sposób.

Podczas tego powitania łokieć zachowuje giętkość, przegub dłoni winien być sztywny, a przedramię wzniesione szybkim ruchem urywanym. Jednakowoż ludność cywilna w obecnych czasach nie ma więcej drygu w przedramieniu. Ręka dynda i często całe powitanie — to niewyraźny ruch przegubu, przypominający ruch człowieka, który zamierza się, by złapać muchę, lecz rezygnuje z tego.

Władze są bardzo zaniepokojone spowodu tych niedołężnych powitań.

Sprawa powitania nabiera jeszcze większego znaczenia w związku z całym szeregiem innych, pozornie drobnych zmian w wyglądzie, jaki kraj przybrał.

MNIEJ HYMNÓW I MUZYKI

Tak naprzykład muzyka — przez cztery dni piszący te słowa wędrował w Niemczech o każdej porze dnia i nocy, i nie słyszał piosenki Horst Wessel, która dawniej nieustannie rozlegała się chórem z ust obywateli.

Również żołądek nie doznawał kurczów podczas jedzenia na dźwięk mów propagandowych, nadawanych przez radjo, jak to nieraz się zdarzało z nim dawniej.

W kawiarniach i piwiarniach nie widać już ciągle szturmowców i młodzieży hitlerowskiej w mundurach, sprzedających różne pisma i broszurki propagandowe, a kiedy przychodzą, to też bardzo mało targują.

Kiedy się mówi do obywateli Trzeciej Rzeszy, nawet tych, co noszą mundury, to pierwsze wrażenie zdrady rewolucji i ogólnego zmęczenia wzmacnia się. Nie wygląda na to, żeby istniało ogólne niezadowolenie, ale istnieje ogólne zmęczenie. Znaczna część ludności jest tak przesycona propagandą, że więcej nie reaguje, i gorączka rewolucyjna powoli zamiera.

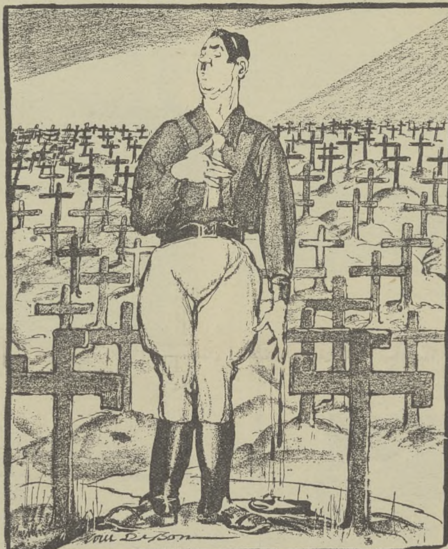
A w miarę tego, jak ten entuzjazm rewolucyjny wygasa, duch krytycyzmu, który zupełnie znikł w pierwszych miesiącach rewolucji, zaczyna się budzić do życia.

„The Chicago Tribune", Chicago.

Herrenklub nie przestał być groźny dla Hitlera

„W Herrenklubie siedzi człowiek, który Hitlera obali". To ostrzeżenie i ta przestroga padły z ust pewnego niemieckiego męża stanu w dniu, kiedy polityczny mesjanizm objął władzę w Niemczech. I mimo, że po czerwcowej „rewolucji" Herrenklub rozwiązano, wielu jego członków aresztowano, a kilku nawet, jak generała Schleichera, współpracowników Papena, Junga i Bosego, zamordowano, Herrenklub pozostaje twierdzą konserwatyzmu, punktem zbornym sił, przygotowujących cios ostateczny obecnemu reżimowi.

Cóż to jest za związek polityczny, jak on powstał i do czego dąży?



Słynna książka Hitlera, jego wyznanie wiary, nosi tytuł: „Moje walki" (Mein Kampf). „Daily Herald", Londyn.

W godzinie konania starych Prus zebrała się garstka patrjotów w „Rote Bude" przy dawnym Placu Królewskim, dokoła długiego stołu w sali, gdzie kiedyś stary Moltke przewodniczył obradom wielkiego sztabu generalnego. Przeważały wprawdzie mundury, ale nastrój był nagoół dla „nowego państwa" przychylny. Dawne przesądy usunięto w kąt. Świadczy o tem fakt, że ludzie jak Wilamowitz (sławny filolog), Harnack (wybitny teolog), członkowie akademji wojennej, sztabu generalnego, oficerowie frontowi, wybitne osobistości ze świata sztuki, prasy, literatury, przemysłu i finansów przyłączyli się zgodnie do haseł nowej republiki. „Pokój, wolność, chleb". Szukali oni duchowych kontaktów z rodakami wszelkich stanów i kierunków.

Do najżarliwszych bojowników tej nowej ideologji należał Henryk v. Gleichen, właściciel dóbr rycerskich w Tannwod, potomek prastarego rodu turyńskiego. Ideałem Gleichena było stworzenie pewnego rodzaju ośrodka dla patrjotycznie czującej młodzieży niemieckiej. Przedewszystkiem zakreślił on tak szeroko granice dla dopływów, z których miała się wyłonić przyszła elita duchowa narodu, że dzięki niemu, a przedewszystkiem dzięki jego taktowi, wszystko, co szczerze dążyło do odrodzenia narodu, mogło się spotykać i wzajemnie do siebie zbliżać w pogodnej i poważnej atmosferze.

Gleichen nie miał ambicyj trybuna ludu. Jako człowiek „cichych stosunków" wolał on snuć swoje nici w spokoju i z uwzględnieniem dalszych celów.

Pewnego dnia pojawiła się na bramie pewnej czynszowej kamienicy mosiężna tabliczka z napisem „Deutscher Herrenklub". Tam ulokował się, wówczas jeszcze nieliczny, sztab Gleichena i redakcja jego pisma „Der Ring". W sui generis sali wykładowej odbywały się wieczory dyskusyjne i kursy dla wybranej klasy, przeznaczonej do przyszłego kierowania państwem. Tu przemawiali Hugenberg, Stinnes, Kuno, Luther, Seekt, Seldte.

Później Herrenklub przeniósł się do wspaniałego pałacu przy Placu Paryskim. Stąd przeniesiono się po pewnym czasie do skromniejszej rezydencji, gdzie znowu urządzono czytelnie, sale klubowe, jadalnie, a obok biura. W trwożliwie strzeżonem sanktuarjum znajdowała się owa sławna „Kartoteka przywódców", gdzie przechowywano olbrzymi materjał o ludziach, na których w odpowiedniej chwili miał się oprzeć prezydent Rzeszy przy obsadzaniu stanowisk kierowniczych. Ta kartoteka, znajdująca się obecnie w bezpiecznem miejscu, odegra prawdopodobnie jeszcze swoją rolę w dziejach narodu niemieckiego.

Ostatnim prezesem klubu był najstarszy syn hrabiego v. Alvensleben, który był jedną z najwspanialszych postaci na dworze berlińskim. Hrabia Bodo v. Alvensleben i jak dyrektor klubu Ivan v. Radowitz są dziś aresztowani. Ale rzeczywisty przywódca klubu Herr v. Gleichen czeka w Anglji na wydarzenia, które zajść mogą przez noc.

Spośród pięciuset członków Herrenklubu najbardziej popularni byli: v. Papen, generał v. Schleicher, ex-minister Hugenberg, v. Oldenburg-Januschau, przyjaciel prezydenta Hindenburga, były szef sił zbrojnych, generał v. Hammerstein, Duesterberg, Seldte i wielu innych. Jasne jest, że w tych sferach zamordowanie Schleichera wzbudziło nieprzejednaną nienawiść do narodowo-socjalistycznego reżimu.

Herrenklub jest rozwiązany, ale podziemnie prowadzi on swoją robotę niezmordowanie dalej. *„Neues Wiener Tageblatt", Wiedeń.*

Nad miejscem spoczynku Schleicherów

Dopiero po dwugodzinnem szukaniu, kiedyśmy prawie zwątpili w powodzenie naszej wyprawy, udało nam się odnaleźć, nie groby, lecz poprostu miejsce, gdzie spoczywają ziemskie szczątki generała Schleichera i jego nieszczęśliwej małżonki.

Niech sobie nikt nie wyobraża, że tak łatwo jest odnaleźć to miejsce. Przedewszystkiem nie doradzałbym nikomu informować się u dozorcy, gdzie znajduje się miejsce wiecznego spoczynku byłego kanclerza Rzeszy. To już wystarcza, by wywołać podejrzenie. Zwiedzający cmentarz albo rzeczywiście nic nie wiedzą, albo udają zupełną niewiedzę.

Kiedyśmy pytali niektórych o grób generała Schleichera, musieliśmy im dopiero długo tłumaczyć, kim właściwie był ten generał Schleicher. Najprawdopodobniej udawali „greków".

Inni znowu, którym postawiliśmy to samo pytanie, patrzyli wytrzeszczonemi ze zdumienia oczyma i przyśpieszali kroku bez słowa odpowiedzi, jak gdyby chcieli uniknąć wielkiego niebezpieczeństwa. Uprzejma kwieciarka pokazała nam wreszcie właściwą ścieżkę. Na lewo od nagrobka lotnika Possa, który w 1933 roku uległ katastrofie, można widzieć kwadrat świeżej ziemi, który w niczem nie przypomina mogiły; niema na nim nawet wzgórka ziemi. Ten mały prostokąt ziemi (2 x 1.5 m.) jest pokryty może tuzinem skromnych wieńców. Żaden z tych wieńców nie ma wstęg. Ma się wrażenie, jakgdyby w nocy ktoś tu te wieńce pokryjomu poukładał...

„To tu", szepcą prawie niedosłyszalnie dwie starsze panie, które cicho za nami nadeszły z polewaczkami w ręku. Potem, becy spostrzegły, że my się im przypatrujemy, oddaliły się szybko z obawy, byśmy ich potem nie poznali. Dlaczego uznano za konieczne oddać śmiertelne szczątki generała Schleichera i jego małżonki na pastwę płomieni krematorjum? Nikt tego nie wie. Wiadomo tylko, że nieszczęśliwa para była spopielona i że za jej trumną postępowało zaledwie jakich osiemdziesiąt osób.

Co najbardziej uderza przechodnia, czy też dziennikarza, który tu zabłądził w poszukiwaniu wrażeń, to bezwzględna anonimowość tych nielicznych wieńców, które przykrywają miejsce ostatniego spoczynku Schleicherów. Należało się spodziewać, że sztab generalny, generalicja, towarzysze broni Schleichera zdobędą się przynajmniej na gest pietyzmu, że mimo niewątpliwie wyjątkowych stosunków oddadzą ostatni hołd pamięci ministra Reichswehry i kanclerza. Nic tu nie wskazuje na to, że ten obowiązek został spełniony. Tu wszystko tchnie zapomnieniem, stąd zionie strach i przytłaczające uczucie opuszczenia, atmosfera grobu masowego. *„Le Journal", Paryż.*

Bez brunatnej armji niema hitleryzmu

Hitleryzm, jako ideologja, zdaje się być zlikwidowany. Nie stało się to bynajmniej spowodu rozczarowania mas: to podpada pod kategorję „zbrodni niezadowolenia", a jak długo karabiny wypuszczają kule „reibungslos" nikt się czemś podobnem afiszować nie będzie.

Zanik hitleryzmu jest następstwem zaniku brunatnej armji. Ta brunatna armja była zewnętrzną szatą hitleryzmu. Hitleryzm, jak Hitler go w swojem „Mein Kampf" wyłożył, był sprawą „ulicy", a ulica należała do brunatnej armji. Z zanikiem marszów, parad, sztandarów, pieśni bojowych i megafonów na każdym rogu ulicy, właściwy hitleryzm przestał istnieć.

Dziś ulica niemiecka jest o wiele mniej hitlerowska, niż za czasów rządów przedhitlerowskich. Żaden nowy mord masowy nie przywróci brunatnej armji jej prestiżu. S. A. podupadła nie dlatego, że była zepsuta pod względem moralnym, lecz dlatego, że była niejednolicie zepsuta pod względem moralnym. W swoich początkach, rekrutowana z opryszków i sutenerów, była ona jednolita i dzięki temu skuteczna jako narzędzie polityczne. Później, zanim jeszcze Hitler doszedł do władzy, dołączyły się do niej masy uczciwych a rozczarowanych entuzjastów; wreszcie Hitler, już jako kanclerz, wtłoczył w szeregi S. A. wbrew ich woli nowe rzesze młodzieży z dobrych rodzin, o nieposzlakowanej przeszłości i wysokiej kulturze i inteligencji. Tem samem przeniósł on do Monachjum stambulską legendę o tem, jak to „dobrzy janczarze zepsuli złych".

Brunatna armja z 1934 roku była tak hitlerowska, jak armja angielska jest konserwatywna, czy liberalna. Była to armja poborowa, reprezentująca wszystkie żywioły w narodzie.

„The Economist", Londyn.

sobocie jeszcze nie zapomniano!

Rozmowy ks. Maxa Hohenlohe z Roehmem

HITLER BYŁ BOŻYSZCZEM ROEHMA

Kapitan Röhm był mi dobrze znany osobiście, moje rozmowy z tym szefem sztabu Hitlera opublikowałem kilka miesięcy temu w „Pariser Tageblatt", przyczem na zakończenie dodałem, że nie wierzę, by Röhm spokojnie dokonał żywota na swojem łożu. Moje przepowiednie spełniły się z nieskończenie większą zgrozą, niż można było się spodziewać, można było przypuszczać, że ten gwałtowny kapitan wkońcu padnie ofiarą swoich najzawziętszych wrogów, najgorszy wróg jego jednak nie mógł się spodziewać, że Röhm padnie z ręki człowieka, którego uważał za swojego najlepszego przyjaciela, i którego, jak apostoł swego zbawiciela, uwielbiał.

Jeszcze brzmią mi w uszach słowa pełne czci i oddania o Hitlerze podczas naszego ostatniego spotkania w hotelu Kaiserhof, (Röhm tam bawił, jako gość Führera). Mówił on: „Nikt nie może mieć wyobrażenia o tej czystej dobroci serca Adolfa Hitlera — jest on najlepszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na ziemi. Jeżeli ktoś, to tylko on może Niemcy zbawić".

Tak mówił Röhm o swoim przyjacielu, który go rok później miał zdradzić, zbezcześcić i wkońcu zabić. Röhm zawsze wielbił nieskończoną dobroć swego przyszłego kata i mówił o bezimiennej czci jaką on, Röhm, dla niego żywi.

UWIELBIAŁ FUEHRERA

Jakkolwiek moje ostatnie wspomnienia o tym awanturniczym kapitanie bynajmniej nie są natury przyjaznej, nie wydaje mi się jednak możliwem, by ten człowiek mógł uknuć spisek przeciw swojemu Führerowi, który dlań był sercem i duszą i ucieleśnionym ideałem jego światopoglądu, twórcą i prorokiem religji, dla której i przez którą on żył. Albowiem nie ślepe posłuszeństwo, nie żądza władzy zazdrosnego wasala łączyły tego naczelnego szefa sztabu z jego Führerem, Adolfem Hitlerem, lecz sentymentalna, żarliwa wiara najulubieńszego ucznia do apostoła.

Te oświadczenia Röhma miałyby mniejsze znaczenie, gdyby mi były uczynione po raz pierwszy podczas wizyty w Kaiserhofie, kiedy Röhm już był szefem sztabu S. A.

Naprawdę jednak były one tylko powtórzeniem tych samych gorących uczuć dla Adolfa Hitlera, którym Röhm dał wyraz wtedy, kiedy wydalony z partji narodowo-socjalistycznej, zdala od ojczyzny, bawił w Boliwji jako niemiecki instruktor armji boliwijskiej. Swoje serdeczne uczucia dla Hitlera wyznał mi Röhm nie w salonach poselstwa niemieckiego w La Paz, gdzie go poznałem, lecz w największej intymności nocnych pogadanek w jego kawalerce w indyjskiej dzielnicy tej dziwnej, prastarej stolicy Inkasów, gdzie go często odwiedzałem i przelotnie się z nim zaprzyjaźniłem.

Wtedy poznałem tego awanturnika w jego najintymniejszej atmosferze, bez maski i zasłon wszelkich konwenansów towarzyskich, poznałem go takim, jakim rzeczywiście był — otwarty, jowialny, odważny do szaleństwa, dobrego serca, lecz przytem brutalny, żądny przygód, o żelaznej sile woli i chytrej obrotności, zawadjacki i sentymentalny, — niezwykła mieszanina spartańskiego samoopanowania i wyraźnych skłonności do życia hulaszczego, żelazny żołnierz i lekkomyślny „bonvivant".

Progu tego domu nigdy jeszcze kobieta nie przekroczyła, — chełpił się kapitan.

Dzielił jednak mieszkanie z osiemnastoletnim artystą-malarzem z Monachjum, przystojnym chłopcem, który zabłądził w boliwijskich lasach dziewiczych, gdzie go kapitan znalazł w stanie zupełnego wycieńczenia, i z młodym sługą indjaninem, który był kapitanowi bardzo oddany, i o którym tenże się wyrażał, że jest on „panną do wszystkiego".

Ta dziwna trójka spędzała swoje sielankowe godziny w towarzystwie trzech wysoko postawionych panów, którzy na nich patrzyli ze swoich, własnoręcznemi dedykacjami zaopatrzonych, portretów. „Mojemu drogiemu kapitanowi Röhm'owi", „Mojemu wiernemu kapitanowi Röhm'owi" i t. d., podpisani — Wilhelm II, cesarz Niemiecki; Ruprecht, bawarski następca tronu; Adolf Hitler !!

BEZPŁCIOWY HITLER

Röhm pokazał mi wówczas kilka swoich listów ze swojej wciąż jeszcze prowadzonej korespondencji z cesarzem. Ze swoich intymnych skłonności, które stały się powszechnie wiadome, Röhm nietylko nie robił tajemnicy, lecz przeciwnie, chełpił się tem swojem ustosunkowaniem się do własnej płci.

Na moje pytanie jaki jest stosunek Adolfa Hitlera do homoseksualizmu wogóle, a do skłonności swojego wiernego ucznia w szczególności, Röhm uśmiechnął się tajemniczo i dwuznacznie:

— Hitler nie jest z tych, co to psują zabawy!

Zaś na moje bezpośrednie pytanie, czy Hitler sam jest homoseksualistą, jego długoletni najbliższy przyjaciel nie odpowiedział, ku memu wielkiemu zdumieniu, energicznym protestem, lecz tym razem prawdziwym uśmiechem sfinksa, który wszystko mógł oznaczać, jak i wszystko zamaskować. Po chwili Röhm wypowiedział swoje zdanie krótko i węzłowato:

— Adolf Hitler jest tak przepełniony miłością dla ogółu (niemieckiego), że na namiętności osobiste sobie pozwolić nie może. W ciągu wszystkich lat naszej znajomości nie miałem możności stwierdzić, aby Hitler utrzymywał stosunki miłosne intymniejszej natury z młodzieńcem czy z kobietą.

Po tych słowach Röhm zmienił temat i więcej do niego nigdy nie powrócił.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

Radca ministerjalny dr. Erich Klausener

Erich Klausener, którego 30 czerwca zastrzelono, już swoim wyglądem zewnętrznym przypominał, starszego od siebie o trzy lata, generała Schleichera: ta sama budowa czaszki, ta sama postawa, ta sama pojednawcza, a jednak nieprzenikniona forma rozmowy. Ci, którzy Klausenera nazywali „pruskim Schleicherem" nie byli zupełnie w błędzie. Był to człowiek, którego trudno było przeniknąć, którego właściwe pole działania leżało w dziedzinie intryg zakulisowych i który w pruskiem ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie kierował przez siedem lat wydziałem policji, takiemi samemi wielkiemi wpływami dysponował, jak Schleicher w Reichswehrze. Jeżeli Schleicher, dzięki słabości Grönera, mógł uchodzić za prawdziwego pana armji, to Klausener, wykorzystując słabość Severinga, stał się panem policji pruskiej. Stanowisko Klausenera jako kierownika policji było dla centrum katolickiego ważniejsze niż niejedna teka ministerjalna.

Klausener oddawna należał do prawego skrzydła centrum, nie przyłączał się jednak do jawnych wycieczek Papena.

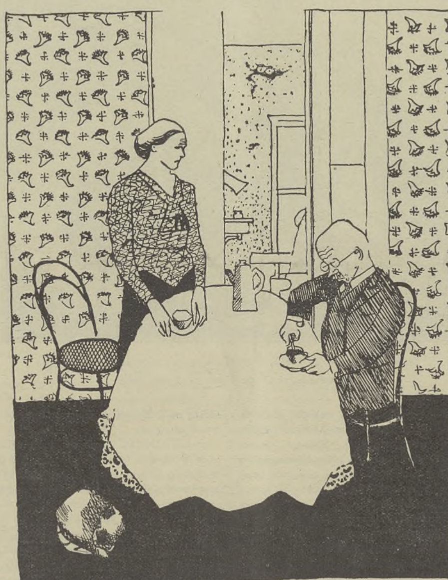
Klausener już zawczasu postarał się o to, by korpus oficerski policji składał się wyłącznie z elementów prawicowych, co nawet śród jego zwolenników wywołało pewne niepokoje.

Stanowisko Klausenera do narodowego socjalizmu jest pod wieloma względami podobne do stanowiska generała Schleichera. Klausener utrzymywał jawnie stosunki z N. S. D. A. P. i zamierzał wykorzystać ją dla swoich własnych ambitnych celów. Pod tym względem mylił on się tak samo jak generał.

Było jednak prawdopodobne, że Klausener jeszcze w chwili obecnej miał wielkie znaczenie w policji, tak jak nie było nieuzasadnione mniemanie, że Schleicher posiadał jeszcze wpływy w Reichswehrze. Było więc właściwie nieuniknione, by, jeżeli Schleicher padał, i Klausener nie pozostał przy życiu.

„Neue Züricher Zeitung" Zurych.

Rozmówki berlińskie



Żona dentysty, który, narówni z innymi odczuwa spadek klienteli: Znowu nie było ani jednego klienta?

Dentysta: Nic dziwnego! Jednym wybito zęby, inni nie potrzebują ich, bo są bezrobotni, a reszta nie ma odwagi otworzyć ust nawet u dentysty.

„Krokodyl", Moskwa.

Kruppowska stal przeszyła Roehmów i Heinesów

Śmierć Schleichera nikogo w błąd nie wprowadzi: nie zginął on spowodu konszachtów z Röhmem. To, że człowiek, który był nadzieją Reichswehry, mógł uwikłać się w plebejską intrygę, mogło zrodzić się w tej samej kombinatorskiej fantazji, która wymyśliła podpalenie Reichstagu. By ułatwić masom S. A. poddanie się władzy morderców, potrzebny był sojusz Röhma z reakcją. Dlatego v. Schleicher i jego małżonka „stawiali opór" przy aresztowaniu, a radca ministerjalny Dr. Klausener, przywódca „akcji katolickiej" już nigdy nie powie, czy on naprawdę z najprzewrotniejszym antykatolikiem Röhmem zawierał sojusz przeciwko papieżowi...

Nie przygotowywano żadnego zamachu stanu. Ernst Röhm, który samego Hitlera nauczył sztuki robienia zamachów, znał technikę tej akcji za dobrze, by w wigilję zamachu dać się wraz ze swoimi podwładnymi ująć w łóżku. Nie planowano żadnego zamachu. Dokonano tylko mordu prewentywnego.

Co się w tej nocy chorobliwej zgrozy stało, o tem się świat dowie dopiero po długim czasie. To jednak, co spowodowało Hitlera do wybuchu wierności nordyckiej, do tej rzezi najwierniejszych żołnierzy, jest dość proste i jednoznaczne. Ta rzeź śród nocy niemieckiej odbyła się na zamówienie Thyssena, Kruppa i Blomberga.

Po wizycie u Kruppa Hitler polecił prosto na krwawą noc monachijską. Kruppowska stal przeszyła ciała Röhmów i Heinesów, reprezentujących masy plebejskie, które również chciały się utuczyć na skradzionym majątku narodowym. Postawiony przed wyborem między plebsem a wykwintnem towarzystwem, Hitler zdecydował się na rzecz Kruppa — i postąpił tak jak tamci zwykli postępować: wymordował skrytobójczo swoich własnych braci.

„Europeische Hefte", Praga.

Z niemieckiego ruchu neopogańskiego

KOŚCIÓŁ — GAJEM WOTANA

Przyjrzyjmy się dokładnie kościołowi. Czy nie jest on w gruncie rzeczy odtworzeniem świętego Gaju Germanów? Kolumny w kościele zastępują drzewa w lesie, wielokolorowa posadzka reprezentuje kobierzec mchów, ołtarz jest świętym kamieniem, ponad który wzrok ulata ku Wschodowi. Witraże mają odtworzyć odświętny nastrój, panujący w lesie o wschodzie słońca. Organy mają zastąpić śpiew ptasztków, na wszelki wypadek są one zestawieniem fletów, które mają taką samą konstrukcję, co piszczałki pasterzy. Dodajmy jeszcze, że pastorał biskupi jest naśladownictwem laski owczarza, czy też pasterza, stanowiącej stały atrybut Wotana na wszystkich obrazach.

SAMOLOTY PRAGERMAŃSKIE

Odkrycia naukowe nie zostawiają wątpliwości, że germańska, a więc aryjska, a więc niemiecka kultura liczy więcej niż „tylko" dwa tysiące lat, więcej niż dwadzieścia tysięcy lat. Jest zatem fałszem, jeżeli się mówi o dwutysiącletniej kulturze niemieckiej. Prof. Reche zdołał stwierdzić i to na dowody, że przodkowie dzisiejszych europejczyków, germanowie, a więc aryjczycy doszli do wysokiej kultury jeszcze przed okresem wielkich lodów w Europie. To działo się pięćdziesiąt tysięcy lat temu... Guido von List znalazł nawet pewne punkty oparcia dla twierdzenia, że aryjczycy owych czasów znali lotnictwo i samoloty.

„Runenforscher", Stuttgart.
(Organ oficjalny niemieckiego ruchu neopogańskiego).

WRÓG SPOŁECZEŃSTWA № 1 – ZASTRZELONY

W niedzielę, 22 lipca, słynny bandyta Dillinger padł od kul agentów policyjnych, którzy go przyłapali, kiedy wychodził w Chicago z kina.

Zbójnik amerykański

Od trzeciego marca ubiegłego roku cała policja amerykańska znajdowała się w ostrem pogotowiu i cała ludność Stanów Zjednoczonych była podniecona pościgiem za jednym człowiekiem, za „wrogiem publicznym Nr. 1", którego podobizny wiszą na każdym rogu ulicy obok obwieszczenia, że bogatą nagrodę otrzyma ten, który go odda w ręce sprawiedliwości, żywego czy martwego. Amerykanie, którzy wszystko na dolary przeliczają, wyliczyli, że dotychczas wpakowano w sprawę Dillingera przeszło 2.000,000 dolarów. Policja wielu stanów musiała zaopatrzeć się w specjalne bardzo szybkie samochody pościgowe, które mknęły po drogach całego kraju, skoro tylko pojawiła się pogłoska o pobycie bandyty w jakimkolwiek punkcie.

A Bóg świadkiem, że wiadomości ani alarmów o jego pobycie w różnych miejscach nie były skąpe. Nie chcąc stracić najmniejszego śladu, policja zorganizowała badania miejscowe, które jedno po drugiem doprowadzały do fiaska. Niema w tem nic nowego, albowiem ludność amerykańska przyzwyczaiła się do tego, że widziała Dillingera w każdym podejrzanie wyglądającym człowieku; a działo się to nie w celu wprowadzenia w błąd policji, lecz pod wpływem ogólnej psychozy. Cała Ameryka przeżywała swoją „Dillingeritis". Dillingerowi przypisywano wszystkie zbrodnie, nawet wtedy, kiedy prawdziwi sprawcy wpadali w ręce sprawiedliwości, wszędzie wietrzyło się rękę „wroga publicznego Nr. 1".

Ten gangster na wolnej stopie siał panikę nietylko śród mas, które łatwo ulegają nastrojom, ale również w tych kołach, które dysponują dostatecznemi środkami obronnemi przeciw wyjętym spod prawa. Tak naprzykład szanowny gubernator Columbus, w stanie Ohio, dosłownie zabarykadował się niedawno z córką w swoim domu, i zażądał pomocy policji, ponieważ otrzymał list z pogróżkami, domagający się uwolnienia trzech bandytów skazanych na śmierć.

Tymczasem Dillinger w towarzystwie swoich kompanów obrabiał jeden bank za drugim, wprost cudem wymykając się z zasadzek policji i, znajdując między jednym wyczynem a drugim dość czasu na to, by odwiedzić starego poczciwego ojca i wziąć udział w „naradzie rodzinnej".

Bo ten bandyta, który tak umiejętnie igrał z władzami amerykańskiemi, nie jest przybłędą, który niedawno wylądował w Ameryce, niewiadomo skąd. Pochodzi on z porządnej rodziny kwakrów, znanej zaszczytnie w okolicy od kilku pokoleń.

John Dillinger, który liczy dziś 31 lat, otrzymał staranne wychowanie w wyższej szkole swojego stanu, lecz od najwcześniejszej młodości odznaczał on się raczej swojemi dodatniemi cechami fizycznemi, niż zapałem do nauki.

Jeszcze jako wyrostek uwodził on dziewczęta i pierwsze małżeństwo zawarł w osiemnastym roku życia. Dziś prawie wszystkie wielkie domy poprawcze w Stanach Zjednoczonych goszczą jakąś z byłych kochanek Dillingera, przyczem wszystkie zachowują jaknajtkliwsze wspomnienia o tym gangsterze Don-Juanie.

Epitet „nieuchwytnego", którym go obdarzają, przysługuje Dillingerowi tylko w pewnej mierze, bo ściśle rzecz biorąc, to on niejeden raz korzystał już z gościnności więzień amerykańskich. Skazany jeszcze wtedy, kiedy uprawiał zawód górnika, został on zwolniony po odbyciu części kary za wstawiennictwem porządnego ojca, następnie uwięziono go w Limie, stan Ohio.

Uciekł z więzienia w Limie i udał się do Chicago, gdzie świat podziemny znajdował się w popłochu po schwytaniu Al-Capone'a. Dillinger oddaje swoje usługi zdezorganizowanej bandzie Al-Capone'a i wzamian za opiekę, którą ona mu gwarantuje, on kieruje jej zamachami, co szybko odświeża zwiędłe wawrzyny bandy. On właśnie kierował zamachem na First National Bank w Chicago, zamachem, który przerodził się w krwawą bitwę z policją. Zbrojne zamachy na banki, były właściwą specjalnością Dillingera, nie zaniedbywał on jednak i innych gałęzi czcigodnego zawodu gangsterskiego, jak napadów na posterunki policyjne, w celu zaopatrzenia się w broń i w koszulki pancerne, z których ułożył sobie w Chicago prawdziwy arsenał. W krytycznych chwilach, kiedy mu gotówki zabrakło, nie gardził on też porwaniem, podreperowując okupami swoje nadszarpane w danej chwili finanse.

Po ucieczce z więzienia w Limie, zaznał on tylko krótkiego okresu wolności, albowiem niedługo potem aresztowano go znowu, tym razem w Arizona.

Ponieważ chodzi tu o bandytę wielkiej miary i autora licznych sprawek, trybunały rozmaitych stanów rościły sobie prawo do niego. Zachodziła więc komiczna sytuacja, kiedy toczył się spór o bandytę tak jakgdyby chodziło o jaką sławę narodową. Komizm sytuacji osiągnął swój szczyt, kiedy zainteresowany sam wmieszał się do sporu i obiecywał hojną nagrodę prawnikowi, który potrafi tak sprawą pokierować, by go odesłano do stanu Wisconsin. Ta predylekcja nie była wynikiem zwykłego kaprysu, była ona podyktowana przez zmysł praktyczny, chodziło mianowicie o to, że w stanie Wisconsin nie istnieją wyroki śmierci, na co nasz gangster w zupełności zasłużył.

Jednak w tym homeryckim sporze o gangstera zwyciężył stan Michigan i „wroga publicznego Nr. 1" przewieziono samolotem do Chicago.

Jeżeli jednak policja myślała, że tym razem, już ostatecznie odniosła zwycięstwo, to była w błędzie. Trzeciego marca Dillinger uzbrojony w drewniany rewolwer, który sam sobie z trzonu miotły przy pomocy żyletki skonstruował, steroryzował dozorców i wymknął się z więzienia.

Pewne okoliczności każą przypuszczać, że „wróg publiczny Nr. 1", posiada potężnych protektorów, którzy najprawdopodobniej maczali palce w jego ucieczce. Krążą również pogłoski o istnieniu mafji, do której mają należeć osobistości ze świata politycznego. Te pogłoski przyjęły potem kształty konkretnych podejrzeń, dokonano nawet aresztowania senatora St. Paul, Mac Laughlin'a, który podobno nie był zupełnie bezczynny przy porwaniu bankiera Bremera przez bandę Dillingera. Bremer został uwolniony po dwóch tygodniach prawie, kiedy złożył okup 200,000 dolarów.

„Berlingske Tidende", Sztokholm.



Dillinger, naprawo, w koszuli, w przyjaznej grupie z szeryfem i dozorczynią więzienia, w Crown Point, z którego uciekł.

Kalendarzyk wyczynów

Co Dillinger nabroił w ciągu roku

W CZERWCU 1933. Uwolniono Johna Dillingera na słowo honoru z więzienia Stanu Indiana, gdzie odsiadywał karę za rabunek w Mooresville, Ind. Niżej podajemy chronologiczny spis jego zbrodniczych wyczynów od chwili jego uwolnienia:

1933

22 WRZEŚNIA. Dillinger zostaje aresztowany w Dayton, Ohio. Jest poznany, jako herszt bandy, która dokonała napadów na banki w New Carlisle, Ohio; w Farrell, Pa; Indianapolis i Bluffton, Ohio, gdzie zrabowano 82,000 dol.

28 WRZEŚNIA. Przekazują Dillingera szeryfowi z Allen County, Ohio, w celu dostarczenia go do Limy, gdzie ma odpowiadać za rabunek w banku w Bluffton.

1 PAŹDZIERNIKA. Trzej koledzy uwalniają go z więzienia w Limie. Szeryf Jesse Sarber ginie zamordowany.

14 LISTOPADA. Policja przygotowuje zasadzkę na Dillingera w gabinecie dentysty, ale wymknął się jej.

20 LISTOPADA. Pięciu bandytów uzbrojonych w karabin maszynowy napada na bank w Racine, Wis, i rabuje 27,000 dol. Ofiary rozpoznały Dillingera, jako herszta bandy.

1934

14 STYCZNIA. Bank w Chicago pada ofiarą rabunku, przyczem łupem bandytów staje się 15,000 dol., a strażnik William P. O'Malley zostaje zabity. Dillingera rozpoznano jako herszta.

25 STYCZNIA. Dillingera aresztują w towarzystwie Charles'a Maklay'a, Russel'a Clark i kilku spólniczek, w Tucson, Arizona.

30 STYCZNIA. Przewożą go do Crown Point, Indiana, gdzie ma odpowiadać za zabójstwo O'Maley'a.

3 MARCA. Wymyka się w towarzystwie Herberta Youngblood, murzyna, z więzienia w Crown Point.

16 MARCA. Youngblood zostaje zastrzelony w Port Huron, Mich. w potyczce z policją; na łożu śmierci wyznaje on, że Dillinger znajdował się w jego towarzystwie; szeryf Charles Cavaugh odnosi w tej potyczce ciężkie rany.

31 MARCA. Dillinger w towarzystwie mężczyzny i kobiety przebija się z rewolwerem w ręku przez zasadzkę policji, ślady krwi wskazują na to, że Dillinger odniósł rany.

2 KWIETNIA. Zatrzymał się w Carthage, Ill., przy stacji benzynowej. Robił wrażenie człowieka cierpiącego spowodu rany.

6 KWIETNIA. W Mankato, Min. znaleziono samochód, którym on uciekł z St. Paul. Dwa dni przedtem mylnie donoszono, że samochód ten znaleziono w Chicago.

7 KWIETNIA. Jego samochód rozbija się w Noblesville, Ind. Ann Martin, kobieta aresztowana z nim w Tucson, Ariz., kupuje dla niego nowy samochód w Indianapolis.

8 KWIETNIA. Spędził spokojnie niedzielę z krewnymi w mieście rodzinnem w Mooresville, Indiana.

10 KWIETNIA. Widziano go w towarzystwie Johna Hamiltona w Pittsburg, prowadził samochód, który mu Ann Martin kupiła.

12 KWIETNIA. W towarzystwie drugiego bandyty, operującego karabinem maszynowym, Homerem van Meter, dokonał o godzinie pierwszej popołudniu napadu na posterunek policji w Warsaw, Ind. i zabrał cztery koszulki stalowe i dwa rewolwery, po obezwładnieniu policjanta Jud'a Pittinger.

13 KWIETNIA. Zatrzymał się w Brownsburg, Ind., ostrzygł się, zjadł posiłek i nabrał benzyny.

16 KWIETNIA. Miał być widziany w Elkhart, Ind.

17 KWIETNIA. Miano go widzieć w South Bend, a krótko potem w Niles, Mich. Tegoż samego dnia, o późniejszej porze, miano go widzieć w Sault Ste. Marie, Mich. w towarzystwie Hamiltona.

18 KWIETNIA. Lekarz i pielęgniarka w Minneapolis wyjawiają, że opiekowali się rannym Dillingerem po jego ucieczce z St. Paul 31 marca.

19 KWIETNIA. Ojciec Dillingera przyznał się, że bandyta i pewna kobieta zjawili się niespodzianie w domu 8 kwietnia i zgotowali sobie obiad. Bandyta chromał podczas chodzenia.

20 KWIETNIA. Przeniósł się na „letnie mieszkanie" do Mercer Wis.

22 KWIETNIA. Wymknął się z zasadzki w Mercer. Dwie osoby poniosły śmierć, cztery zostały ranione.

23 KWIETNIA. Trzej członkowie bandy Dillingera uciekając przed strzelaniną w Mercer, wymienili strzały z policją w St. Paul Park, przedmieściu St. Paul, Minn. Jeden z bandytów podobno odniósł rany; banda zrabowała samochód prywatny i znikła.

20 CZERWCA. Po kilku tygodniach ciszy dokonano napadu na bank pod Chicago. O napad oskarżono Dillingera.

„New York Times", Nowy Jork.

Zapowiedź dzisiejszego losu

...Asystent prokuratora generalnego Joseph B. Keenan, szef sztabu federalnego urzędu dla zwalczania zbrodniczości, uderzył ze złości pięścią w swoje biurko w Waszyngtonie i oświadczył z całą stanowczością:

— Nie wiem gdzie i kiedy dostaniemy Dillingera w nasze ręce, ale dostaniemy go. A w mojem imieniu możecie zapewnić społeczeństwo, że schwycimy go śród takich okoliczności, że zaoszczędzimy rządowi federalnemu kosztów procesu.

„The Time", Nowy Jork.

GANGSTERZY AMERYKI.



Gdyby Krzysztof Kolumb wylądował dzisiaj w Ameryce.

„Ottobre", Rzym.

Plaża — targowisko miłości

Na modnej plaży, gdzie obie płci prawie nago oddają się pieszczotom słońca, zjawiają się dwie młode panie z małą córeczką. Wpobliżu nich pewien pan, którego oblicze i pierś zasłania rozłożona gazeta, okrył biodra najzwyczajniej — ręcznikiem.

Ale od strony morza Śródziemnego dmie lekki wietrzyk i, czego zaabsorbowany lekturą czytelnik nie zauważył, odrzuca ręcznik natyle, że widać właśnie część ciała, którą rzeźbiarze klasyczni zazwyczaj chowają pod listkiem figowym... Ciekawe córki Ewy podnoszą się na łokciach i podpatrują.

— To nie mój mąż — mówi pierwsza.

— Nie, to napewno nie jest pani mąż, — potwierdza druga.

Ta anegdota nie jest bynajmniej przeznaczona, jakby ktoś sądził, aby pokazać i tak już wytykaną z ambon, rozwiązłość obyczajów, której źródłem ma być, jak mówią, zbyt bezpośrednie zetknięcie fizyczne, na tych piaszczystych przestrzeniach, będących jeszcze przed niewielu laty siedzibą poławiaczy krewetek i morskich piratów.

Nie — ta krótka opowieść jest tylko przykładem na to, jak dokładnie znają się i rozpoznają po pewnych szczegółach fizycznych, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, żyjący wspólnie nad morzem.

W drugim dniu tworzenia Bóg oddzielił ziemię od wody i wszystko pozwala przypuszczać, że już wtedy istniały doskonałe plaże na piaszczystych wydmach morskich. Lecz jakże powoli uczyła się ludzkość używać z niezaprzeczonych korzyści, jakie daje ten neutralny pas między lądem stałym, a morzem! Toż dla starszego pokolenia, plaża ma zaledwie piętnaście lat, a krótka przechadzka w Juan-Les-Pins wystarcza w zupełności dla zrozumienia tej głębokiej przemiany, jaka zaszła w obyczajach, wskutek namiętnej potrzeby kąpieli słonecznych.

INNE OBYCZAJE

Trzydzieści lat temu mała mieszczka uważałaby za ujmę dla swego honoru zajmować się czemś innem, niż ręczną robótką lub smażeniem konfitur. A gdy młoda panna, z lepszego domu, usiadła czasem, założywszy nogę na nogę, o tak sobie, w oczach poważnych matron był to już drugi stopień do piekła...

A dziś? Nawet babki pozwalają doświadczonym gigolo — nacierać oliwą swoje zaróżowione łopatki, gdy wnuczęta najczęściej wypędzone z plaży — bo tam się bawi w najlepsze ich mamusia — muszą szukać rozrywki w ogrodach publicznych. Młody mężczyzna, gdy dwadzieścia lat temu chciał widzieć swoją przyszłą żonę w pełnej okazałości jej wdzięków, musiał podglądać ukryty w łazience, za łaskawem zezwoleniem jej mamusi, by dopiero tam zauważyć:

„Ależ ona ma stanowczo za duży nos!"

Dziś nie potrzebowałby chwytać się takich sposobów. Jedna wspólna kąpiel w Cabourg, i żaden szczegół z wdzięków jego przyszłej żony nie będzie dlań obcy.

W miłości, której kolebką jest morze, piękno ciała znaczy więcej, niż urok samej twarzy.

W Paryżu młodzieniec podąża w ślad za młodą osóbką i wkońcu udaje mu się wciągnąć ją do swej garsonjery. Kiedy jest już rozebrana, woła zdumiony: „Ależ ja poznaję dokładnie te dwa znamiona na prawem ramieniu... Nie była pani przypadkiem w Monte Carlo i czy już tam nie?..."

— Tak, zgadza się — odpowiada młoda dama, — ale tam byłeś pan bez okularów — a ja bez kapelusza i szminki...

Inny znowu młodzieniec w Sainte Mosaine twierdził, że nuży go już widok tylu nagich ciał, mawiał „mogę pożądać tylko kobiety w sukni, pończochach i pantofelkach"...

Atrakcją plaż australijskich jest obecność rekinów. Zarządy uzdrowisk, w trosce o bezpieczeństwo publiczności, nie zadawalają się wyznaczaniem granic, dokąd te potwory nie dochodzą. Mają jeszcze inne środki zaradcze: Co rano widać na plaży specjalne grupy ratownicze, które odbywają w tym celu odpowiednie ćwiczenia. Ci ratownicy — to młode, piękne urwisy, którym przypada wysoka nagroda za ocalenie nieostrożnego pływaka. To też często się zdarza, że młoda dama, chcąc im ułatwić zarobek, woła nagle z całych sił o pomoc, a potem omdlewa w silnych ramionach śmiałka, dzięki któremu uniknęła straszliwej śmierci...

W Londynie, na jednej z wysp na Tamizie, znajduje się zakład kąpielowy, będący zarazem miejscem schadzek lepszej klienteli. W zakładzie tym zdarzyła się pewnego razu tragedja, która ma w sobie wiele z wesołej farsy. Niespokojny małżonek, nie mogąc nigdzie znaleźć swojej żony, którą zostawił przed godziną w kabinie kąpielowej, miotany zazdrością, kazał wyważyć drzwi. Wewnątrz znalazł tylko jej suknię, a na niej kartkę tej treści:

Żegnaj. Znużona życiem postanowiłam się utopić — nie traćcie czasu na szukanie mego ciała.

Zrozpaczony mąż spędził noc na przeszukiwaniu wybrzeża z pomocą policji rzecznej.

O świcie wrócił do domu. Zastał żonę najspokojniej śpiącą w łóżku. Tłumaczyła się, że chciała się tylko przekonać, czy naprawdę ją kocha. Za pośrednictwem znajomego, którego nazwiska nie chciała wyjawić, opuściła wyspę w stroju kąpielowym, a stamtąd autem wróciła do domu.

Mąż naturalnie był wściekły i z miejsca zażądał rozwodu. Otrzymał go łatwo, gdyż sąd był zdania, że młoda kobieta przekroczyła granice zwykłego żartu, stawiając na nogi całą flotyllę policji rzecznej Londynu.

KRÓLESTWO FLIRTU

Lecz nie należy przypuszczać, że plaże są wyłącznie czemś w rodzaju — targowiska chłopców, zakątkiem, gdzie panie, uprawiające niebezpieczne gry miłosne, szukają partnerów. Wszystko to wypływa raczej z przyzwyczajenia, z wrodzonej potrzeby flirtu.

Nie, ludzie młodzi i zdrowi, którzy wytarzawszy się w piasku, parskają jak młode zwierzęta przy wyjściu z wody, szczęśliwi, że mogą uniknąć sentymentalnych powikłań i kłopotów, znajdują tu radość i szczęście. Brak szminki i błyskotek, usuwa prowokujący gest u kobiet, które w mieście pudrują się co kilka minut i tracą godziny na strojenie się. Tu nie potrzebują się martwić, że zbyt wąskie trzewiki ugniatają im palce lub silnie ściśnięty gorset uciska piersi. Tu na plaży nie można oszukiwać! To też wiele z kobiet rozpoczyna już w maju zaprawę fizyczną, aby w sierpniu móc śmiało pokazać się w Cabourg lub Deauville.

Kto z miłośników klasycznego piękna nie chciałby choć raz jeden w życiu ujrzeć piasków Kalifornji, Florydy, Miami, Santa-Barbara, plaż tonących w powodzi kwiatów, gdzie gwiazdy z Hollywood przyjeżdżają szukać kandydatów do przyszłych rozwodów, gdzie Miss Wenus na 1934 rok wychodzi z wody prawie tak naga, jak prawdziwa bogini, w otoczeniu piętnastu dam dworu, również pięknych, jak ona i równie, jak ona, zdecydowanych zdobyć za wszelką cenę miljonera, nie zrujnowanego jeszcze przez dekrety Roosevelta!

ZABAWY PLAŻOWE AMERYKANEK.



Modły przed smokiem morskim.

Na miękkim piasku odbywają próby gromady girls przed przyszłą rewją, uganiają w słońcu za piłką, podobne do Nauzyki i jej towarzyszek, kiedy zaskoczył je Odyseusz, wyrzucony na brzeg Egejskiego morza.

Do tych zabaw, zresztą już dawno popularnych, dochodzą jeszcze gry wodne, zaprowadzone dopiero w ostatnich czasach.

Prawie wszystkie jeziora Ameryki są zaopatrzone w „water shoot", czyli koryto drewniane długości dwunastu metrów, zbudowane nad wodą o prawie prostopadłem nachyleniu do jej powierzchni. Wzdłuż ścian „water shoot" przepływa stale woda, tak, żeby kąpiący nie zdzierali sobie skóry podczas szybkiej jazdy w dół. Z wyciągniętemi przed siebie nogami zjeżdża się wzdłuż koryta, a jeśli końcowe zderzenie z wodą jest może zbyt brutalne, wrażenie szybkości, jakiego się przy tem doznaje, jest dość ponętne, by zachęcić do powtórzenia. Często ustawiają się przy tem parami, nogi mężczyzny oparte o dłonie kobiety, a wtedy szybkość staczania się, podwojona ich wspólnym ciężarem, wywołuje zwykle okrzyki u płci pięknej, będące równoczesną oznaką trwogi i rozkoszy, jakiej przytem doznają. Akwaplany, upojny sport, gdzie człowiek trzyma w obu rękach sznur, łączący go z motorówką, pędzącą całą parą, wymaga niezwykłej siły mięśni i dużej zręczności. Woda, w której zdawałoby się można zawsze zanurzyć się bez przeszkód, chłoszcze bez litości nieszczęśliwca, który trzyma się steru nieumiejętnie i zderza się gwałtownie z wzburzoną powierzchnią.

KARKOŁOMNE SKOKI

Jeszcze więcej utrudniono ten sport, zastępując jedyną deskę, na której można było od biedy zachować równowagę, przez parę nart, szerszych i krótszych niż te, których używa się w zimie. Podobnie jak narty, te krótkie deszczułki mają nieszczęsną skłonność do rozchodzenia się każda w swą stronę, grożąc wywróceniem każdemu, kto nie ma dość sił w mięśniach, zwanych z łacińska „custodes virginitatis", czyli straż cnoty, a które, jak czytelnik zapewne się domyśla, utrzymują kolana ściśnięte jedno do drugiego. Mistrzem tego mało znanego sportu jest francuz Georges Duscroq.

Ślizgowce, szybkie łodzie motorowe, które zdają się latać nad szczytami fal, nie cieszą się jeszcze w Europie takiem powodzeniem jak w Ameryce. Można je było widzieć na ostatnich zawodach pływackich w Bolonji. Kierowcy mają głowę okrytą hełmem dla ochrony na wypadek wyrzucenia ich poza statek, a ramiona mają obandażowane dla uniknięcia potłuczeń przy wstrząsach na wirażach.

Naturalnie te wszystkie gry wymagają szerokiej przestrzeni wolnych wód, a niestety, warunek ten trudno spełnić, wyjąwszy może piaszczyste wybrzeża Skandynawji.

Na naszych plażach, zwanych familijnemi, nigdy nie kończące się partje belotki i flirty mają za rezultat po powrocie z wakacyj liczne związki małżeńskie, a już najbliższej wiosny — rozwody. Bujnie rozkwita młoda wyobraźnia podniecona przez monotonny szmer morza i słodki powiew wiatrów morskich, pachnących solą i jodem. Wzdłuż brzegu ciągną się długim szeregiem kabiny. Na ich ścianach można często znaleźć napisy i wiersze, będące najsilniejszym wyrazem nastrojów i uczuć na plaży. Tak powstał nowy gatunek literacki, poezja plaży, cichych wód morskich, poezja słońca. *„Vu", Paryż.*



Wielki: Teraz może pan pójść! Ta pani pana nie zna!
Mały: Naprawdę? Znała mnie przecież onegdaj, kiedy wyratowałem ją z morza!
Wielki: Bardzo być może, ale od tego czasu ja też jej uratowałem życie!
„Punch", Londyn.

Szympanse tworzą bank

W instytucie psychologii porównawczej na uniwersytecie w Jale w St. Zjedn. profesor Robert Jerks przeprowadza od szeregu lat bardzo interesujące doświadczenia. Doświadczenia profesora Jerksa mają dowieść zdolności małp, z gatunku szympansów, poznawania wartości pieniędzy.

Profesorowi udało się nauczyć małpy samodzielnie płacić za każdy przedmiot, jaki pragnęły posiąść. Przy nauce posługiwał się on różnokolorowemi żetonami. Małpy rychło zaczęły się orjentować, jakiego koloru żeton należy rzucać do automatu dla uzyskania przedmiotu, który im się podobał. W szybkim również czasie nauczył je profesor Jerks, że przed otrzymaniem żetonu, muszą wykonać pewną pracę, np. przerzucić ciężary i t. d. Małpy musiały opłacać każdorazowo udzielane pozwolenie na opuszczenie klatki i udanie się na spacer; nawet likieru dostawały za pieniądze.

Szympanse okazały się jednak wielkimi rozrzutnikami. Za każdym razem wydawały wszystkie żetony, otrzymane na „zrobienie zakupów". Zwłaszcza wyraźne skłonności do trwonienia pieniędzy zdradzały samice. Skoro tylko zamykano automaty, małpy chowały swoje oszczędności do „banku". „Bank" mieścił się w kieszeni dozorcy, którego małpy darzyły bezwzględnem zaufaniem. W stosunkach wzajemnych natomiast, szympanse nie dowierzały sobie. I nie bez racji. Przy każdej nadarzającej się sposobności, małpy starały się jedna drugą okradać, oszukać, a nawet posuwały się do próby obustronnego wyłudzania żetonów.

Co więcej, małpy wkrótce nauczyły się zaciągać pożyczki. Okazały się jednak dłużnikami bardzo uczciwymi i punktualnie zwracały pieniądze swym wierzycielom.

„Neues Wiener Journal", Wiedeń.

Okręty, które wiozą śmierć

Zaczyna się to, jak opowiadanie Edgara Poe. W listopadową noc pewien tragarz portowy wraca, zataczając się, do nędznej izby, którą wraz z czterema innymi robotnikami zajmuje w zaułku dzielnicy Joliette w Marsylji Z wielkim wysiłkiem wdrapuje się do swojej nory na drabinie, służącej za schody, i poomacku wślizguje się w ciemności na siennik, który dzieli z jeszcze jednym kolegą.

Ten, nagle zbudzony i uważając, że sąsiad, który zanadto się rzuca i stęka jest zapewne pijany, zaczyna mu wymyślać, potem trąca go i szarpie, żeby go uspokoił. Tymczasem budzą się pozostali współlokatorzy i głośno wymyślają.

Nowoprzybyły, obrażony, wyciąga z kieszeni nóż. Ale ponieważ chwieje się na nogach, wystarcza jedno szturchnięcie któregoś z towarzyszy, żeby go tyłem wypchnąć za drzwi. Spada z drabiny, leży nieruchomo, z rozkrwawioną głową, na bruku i nikt mu nie przychodzi z pomocą. Po pewnym czasie, kiedy oprzytomniał, wlecze się w kierunku ulicy i tam, na chodniku znajduje go policjant.

Rannego odwożą do szpitala w karetce pogotowia. Tam, po rozebraniu go dochodzą do wniosku, że chorego nie należy umieścić na oddziale chirurgicznym, jak zamierzano, ale natychmiast położyć w separatce na oddziale zakaźnym. Człowiek ma 40 stopni gorączki i na pachwinie wrzód, który zaalarmował dyżurnych.

Dżuma! Biegną do telefonu i mimo spóźnionej pory wzywają dyrektora miejskiego urzędu hygieny i lekarza naczelnego z bakterjologicznego laboratorjum morskiego urzędu sanitarnego. Obydwaj niezwłocznie autem przyjeżdżają do chorego, którego tymczasem dwaj sanitarjusze w płóciennych kombinezonach o obcisłych kołnierzach i szczelnie zawiązanych rękawach i nogawkach umieścili w osobnym pokoju, zupełnie białym, o gładkich ścianach i suficie.

W tym pokoju, przypominającym celę klasztorną, dwaj specjaliści postawią ostateczną djagnozę.

ZADŻUMIONY

Dyrektor laboratorjum bakterjologicznego zaopatrzył się w łatwo przenośne przyrządy, które w nagłych wypadkach zawsze ze sobą wozi: w mikroskop, w cały asortyment probówek i słój z białemi myszkami.

Zapomocą punkcji wydobywa płyn mózgowo-



Zatruwanie gryzoniów.

rdzeniowy z chorego i odrazu konstatuje obecność w organizmie bakteryj. W dwadzieścia cztery godziny później hodowla wykazuje, że to bakterje Yersina spowodowały chorobę. Po czterdziestu ośmiu godzinach szczepione zwierzątka zdychają. Niema już żadnej wątpliwości.

Zawiadomiono prefekturę policji, a ponadto na zasadzie konwencji sanitarnej z dn. 21 czerwca 1926 r. Międzynarodowy urząd zdrowia i wszystkie państwa świata...

Robotnik portowy, którego odnaleziono w zaułku koło Joliette nie był zwykłym pijakiem. Choroba, którą w sobie nosił i którą zdążył zarazić swego współtowarzysza snu, należy do rzędu tych, o których nie mówi się bez przerażenia. Była to „zaraza Nr. 9" wyjątkowo niebezpieczna: d ż u m a!

W dawnych czasach nazwa ta obejmowała nietylko dżumę właściwą, ale i inne choroby zakaźne, które później uznano za różniące się od niej jak cholerę, ospę, tyfus, żółtą febrę.

Wszystkie te choroby wywodzą się z krajów podzwrotnikowych, a zwłaszcza ze Wschodu, gdzie głodni i brudni ludzie żyją w gęstych skupieniach. Przez całą starożytność aż do stosunkowo niedawnej przeszłości, dziesiątkowały ludzkość, nie omijając nawet Europy.

Ostatnia wielka epidemja cholery nawiedziła Francję w r. 1884, dżuma po raz ostatni w r. 1720 w ciągu kilku miesięcy dokonała w prowincjach południowych takich spustoszeń, że nocą, trzeba było zbierać okryte całunem trupy na taczkach i przewozić na cmentarz do wspólnych grobów, bo służba pogrzebowa nie dążyła ich chować. Dżuma była zawleczona ze Wschodu do Marsylji za pośrednictwem okrętu Saint-Antoine. Spowodowała w Prowancji śmierć 80.000 osób.



Plon gazów trujących.

ZARAZY ZE WSCHODU.

Zasługa powzięcia środków, zapobiegających niebezpieczeństwu podejrzanych okrętów i pasażerów przypada w udziale Republice Weneckiej, która w ciągu sześciu wieków doznała 63 epidemij i wreszcie w r. 1348 stworzyła pierwszych „provveditore", czyli urzędników zdrowia i pierwsze „lazarety", czyli miejsca gdzie izolowano chorych zakaźnie. Ale upłynęło wiele czasu zanim za przykładem Wenecji poszły inne wielkie porty morskie.

Wielki postęp dokonał się dzięki odkryciu, że zaraza powstaje wskutek miljardów istot „nieskończenie małych", przenoszonych do naszej krwi albo na pokarmy przez pasorzyty; kiedy odkryto, że żółtą febrę przenoszą moskity, tyfus — wszy, cholerę — muchy, a dżumę — pchły zarażonych szczurów.

Zdumiewającą jest rzeczą, że dopiero w roku 1851 w Paryżu, dwanaście państw zawarło jednolitą konwencję sanitarną dla wszystkich portów na morzu Śródziemnem, a dopiero w r. 1912 stworzono Międzynarodowy urząd higieny publicznej i jednocześnie postanowiono skodyfikować, na podstawach ściśle naukowych, środki obrony przeciw epidemjom.

Byłoby jednak błędem przypuszczać że dżuma, ponieważ mało się o niej mówi, przestała zagrażać krajom Zachodu. Jak dawniej, po odbyciu drogi morskiej zjawia się u progu naszych portów i jeżeli teraz nie dochodzi do klęski pomoru, dzieje się to nietylko dlatego, że od owego czasu zdobyliśmy szczepionki i serum ochronne, ale i dlatego także, że stworzono cały system obrony, którego zazwyczaj nie dostrzega się, ale którego zadaniem jest dozorowanie okrętów, kwarantanna pasażerów, natychmiastowe unieszkodliwianie, przy pomocy organów porządku publicznego, ognisk zarazy. System ten działa tak sprawnie, że legendarny jeździec Apokalipsy, w przeciwieństwie do całego szeregu chorób pozornie łagodnych, na naszem terytorjum potrafi zabrać życie zaledwie kilku osobom rocznie... Nie wolno go jednak ani na chwilę spuszczać z oka.

WALKA ZE SZCZURAMI

Ponieważ głównym przenośnikiem dżumy jest czarny szczur okrętowy, którego sierść obfituje w pchły, przedsięwzięte są środki ostrożności nietylko przeciw dopuszczeniu go na ląd, ale ponadto każdy, nawet najlepiej utrzymany okręt musi być „odszczurzony" przynajmniej raz na sześć miesięcy.

Wyspecjalizowani urzędnicy udają się w tym celu na pokład okrętu, zaopatrzeni w maski i w wielkie butle zawierające siarkowodór w stanie płynnym, o własnościach silnie trujących. Zamyka się na dwie godziny wszystkie otwory na dnie okrętu i rozpyla gaz. Trupy szczurów, często w liczbie kilkuset bywają spalone, z wyjątkiem kilku, które poddaje się analizie laboratoryjnej.

Jeżeli któryś ze szczurów nosił w sobie zarodki dżumy, okręt bywa dokładnie wydezynfekowany.

Żaden statek, nawet nieszkodliwy, nie może przybić do portu zanim jeden z oficerów załogi w towarzystwie lekarza okrętowego nie uda się na łodzi na posterunek nadbrzeżny, celem udzielenia informacyj o stanie statku — chyba, że wszystkie referencje zostały nadane uprzednio przez radjotelegraf.

Jeżeli okręt wraca z portu, gdzie panuje epidemja, lub wiezie chorego na niewiadomą chorobę, stosuje się doń natychmiast dekret z roku 1927 o policji sanitarnej morskiej. Dla zapobieżenia przeniesieniu się dżumy, poddaje się załogę i pasażerów badaniu lekarskiemu; izoluje się natychmiast tych, którzy są zarażeni; poddaje się obserwacji osoby z ich otoczenia, a dezynfekcji i odwszeniu wszystkie przedmioty i miejsca wskazane przez władzę sanitarną, działającą samodzielnie do czasu usunięcia niebezpieczeństwa.

A JEDNAK ZARAZA PRZENIKA

Mimo tych środków ostrożności zdarza się, że zaraza przenika poprzez wszystkie przeszkody dzięki sprzyjającemu zbiegowi okoliczności, których nie można nawet dokładnie ustalić.

Możliwe, że zarazki pochodzące ze statków pozornie nieszkodliwych, przedostają się nazewnątrz za pośrednictwem towarów, przenoszonych w pakach przez robotników portowych. Przypuszczenie to ma pewne podstawy, ponieważ, ilekroć zdarza się wypadek dżumy na lądzie, dzieje się to regularnie w skupiskach nędzarzy, wśród których żyją tragarze okrętowi.

Właściciele mieszkań, zarówno jak wzywani lekarze i członkowie rodziny muszą bezzwłocznie meldować o każdym przypadku podejrzanej choroby. Organizuje się wówczas pocichu, bez zbytecznej reklamy, defenzywę sanitarną. Zauważona w porę dżuma jest w 75% wypadków uleczalna w ciągu kilku tygodni.

Nie wystarcza jednak leczenie chorych. Trzeba dojść przyczyny choroby, wywiedzieć się o znajomości chorego, dostać do jego sąsiadów, odnaleźć relacje mniej czy więcej ukryte, które go skierowały do miejsc podejrzanych z punktu widzenia higjeny — jeżeli pragnie się odebrać epidemji siłę i zdolność rozwoju.

WIELKA TAJEMNICA

Kiedy okazuje się, że ognisko epidemji mieści się w zbiorowisku nor mieszkalnych, tak często spotykanych w wielkich miastach nadmorskich — gdzie stłoczona jest na małej przestrzeni wielka ciżba ludzka w najbardziej opłakanych warunkach zdrowotnych, sytuacja staje się bardzo ciężka, bo trzeba wydać zarządzenia sanitarne na wielką skalę, zbadać całą dzielnicę, żeby ją dokładnie wyczyścić, co niezawsze jest łatwą sprawą.

I tak, w Marsylji w r. 1930, zresztą zupełnie wyjątkowym, bo z czterema aż wypadkami śmiertelnemi dżumy, trzeba się było zdecydować na ewakuację całej niesłychanie brudnej dzielnicy, gdzie nagle zachorowała trzynastoletnia dziewczynka.

Bez uprzedzenia, u schyłku nocy, dom otoczyły wszystkie czynne karetki służby miejskiej a żandarmi i policjanci sformowali gęsty kordon. Dyrektor biura higjeny i towarzyszący mu komisarz policji pukać zaczęli kolejno do wszystkich drzwi i budzić śpiących lokatorów. Było to w niedzielę. W ten sposób zabrano 243 osoby, zawieziono do jednej z okolicznych posiadłości, gdzie zarządzono szczepienia i dezynfekcję, a później pięciodniową kwarantannę; w tym samym czasie mieszkania zostały dokładnie oczyszczone, a kordon policji pilnował ich dniem i nocą, celem zapobieżenia grabieży.

Z wyjątkiem najbliższych sąsiadów, nikt nie wiedział o tem co zaszło. Prasa milczała, bo poco siać przestrach, kiedy niebezpieczeństwu w porę zdołano zapobiec?

Najszersza publiczność w dalszym ciągu beztrosko goniła za pracą czy przyjemnością, a skromni i nieliczni urzędnicy stacji higjeny objęli pieczę nad naszem zdrowiem.

Zawdzięczamy im bardzo wiele, nie wiedząc o tem wcale. Często, w najrozmaitszych okolicznościach dotyka nas śmierć swem skrzydłem, a my nie czujemy wcale jej oddechu.

Kilka lat temu, pewien zagraniczny statek luksusowy, przybył do Marsylji ze Wschodu, nie mając na pokładzie chorych. Zażądano mimo to natychmiastowego odszczurzenia. Członkowie załogi w czasie podróży natykali się na wielką ilość zdechłych szczurów i zauważyli, że inne uciekały bardzo leniwie i powoli, co jest złym znakiem.

Rozpuszczono na statku kwas siarczany i z dna wyciągnięto trzysta zdechłych zwierząt. Analiza dała niezbite dowody — ale tym razem obeszło się bez tragicznych konsekwencyj.

Bogaci pasażerowie i goście ze Wschodu, którzy swą obecnością zaszczycili ten statek, nigdy się nie dowiedzą, że podczas cudownych nocy podróży morskiej, podczas tańców na sali balowej, kiedy wszystko mówiło o słodyczy życia i o miłości, kilka metrów pod nimi w zupełnej ciemności hordy brudnych zwierząt błądzące w zaduchu na spodzie okrętu niosły we krwi zarazki strasznej śmierci!

Jean Marestan.
„Voilà", Paris.

Cudotwórcze zastrzyki przeciw reumatyzmowi

Angielskie pismo medyczne „Lancet" donosi o nowej zdobyczy w dziedzinie medycyny — o niedawno wynalezionych zastrzykach t. zw. gistaminach. Działanie tych zastrzyków jest wprost zdumiewające w zastosowaniu nawet do ciężkich wypadków chorobowych. Ludziom, cierpiącym od szeregu lat, przynoszą ulgę w przeciągu trzech minut. „Lancet" podaje przykład pewnego pacjenta, który naskutek długoletnich dolegliwości reumatycznych, pozbawiony był możliwości zginania rąk w kułak; stale uskarżał się na dreszcze, zimno i t. d. Wstrzyknięto mu gistamin. Efekt był znakomity. Po upływie kilku minut, pacjent odczuł przypływ ciepła, jego twarz nabrała rumieńców, a jego blade dotychczas ręce — koloru różowego. Jeszcze chwila — i pacjent zwinął dłoń w pięść.

Drugą pacjentką, na której dokonano eksperymentu wstrzyknięcia gistaminu, była pewna kobieta, posługująca się od kilku lat z rzędu dwoma laskami przy chodzeniu, ponieważ reumatyzm spowodował w niej zesztywnienie nóg w kolanach. Po zastrzyku pacjentka odzyskała władzę w nogach i mogła już o własnych siłach chodzić, jak każdy normalny człowiek.

Oczywiście, „Lancet" ostrzega przed sugestją „cudów". Działanie gistaminu mija po pewnym czasie i dawne chorobowe objawy wracają, w złagodzonej zresztą postaci. Przy stosowaniu jednak w dalszym ciągu zastrzyków, włączonych w ogólny system leczenia, można reumatyzm zwalczyć, a może nawet prawie całkiem wyleczyć, dzięki nowemu środkowi.

„Wozrożdenje", Paryż.

Stulecie „Paroles d'un Croyant" Lamennais'go

Wpływ Mickiewicza na pisarza francuskiego

Z tych cudownych róż czerwcowych, płomiennych jak usta, z tych wieńców laurowych, któremi przystrojono medaljon Mickiewicza, należało zerwać kilka kwiatów i kilka liści na grób Lamennais'go. Bo sto lat temu, na wiosnę roku 1834, ukazały się „Paroles d'un croyant", napisane pod wpływem „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego".

Lamennais, przedwcześnie postarzały potomek starego rodu, kapryśny, ułomny, szukał zawsze otoczenia młodzieży i dzieci. W posiadłości swej, La Chesnayé, w r. 1832, po wyroku rzymskim, zgromadził wokół siebie dotknięty encykliką papieską, kwiat kościoła Francji: przebywa tam Lacordaire, który pewnego wieczora odejdzie bez słowa, nie obejrzawszy się nawet; jest łagodny Gerbet, który żyje jak w oczarowaniu, tchnąc miłością; jest Gueranger przyszły odnowiciel zakonu benedyktynów; i wreszcie Maurice de Guérin, dziecię wieku, którego mistrz najmniej rozumiał, a który najlepiej pojmował Lamennais'go. Wszyscy inni pamięć o sobie zawdzięczają dziennikowi Guérin'a.

Ta swoista kongregacja przestrzega regulaminu jednocześnie duchownego i romantycznego. Tylko religji co literatury. Pan Feli, przełożony, jest na dodatek jałmużnikiem poetów. Czyta się autorów świętych. Recytuje się, pomiędzy dwoma hymnami brewiarza, poezje Nodiera i Victora Hugo. Wstaje się o świcie, o piątej rano. Obiad jest w południe. Zażywa się wiele tabaki. Mistyk Gerbet zużywa nie mniej, niż trzy kilo tabaki rocznie. A niewyczerpany pan Feli troszczy się o wszystko, zajmuje się nawet praniem.

Wieczorami, w salonie, kiedy uczniowie gromadzą się dokoła kominka, czyta im się niezwykłe poematy prozą, ewokujące grobowce i trony i wizje Apokalipsy. Naśladują niejakiego Mickiewicza, którego Lamennais spotkał w Rzymie i który podobno ma przyjechać z wizytą do La Chesnayé: ma go zabrać ze sobą Montalembert, który tłumaczy „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego" na francuski. Poeta rzeczywiście przyjeżdża latem. Jest to olbrzym litewski, w ugalonowanym surducie, o twarzy delikatnej, a dzikiej, tonącej w kłębach brody i czupryny. Projektuje się założenie w Bretanji szkoły dla dzieci wygnańców z Polski.

W rok później, 27 kwietnia 1834 r. Lamennais pisał do hrabiny Senfft: „Ukaże się niezadługo książeczka, która się Pani zapewne mocno nie spodoba. Usłyszy Pani o niej. Błagam, żeby jej Pani nie czytała. Nie jest to książka teraźniejszości. To książka powstała z instynktu, z przeczucia, z obowiązku sumienia".

Mały utwór wybuchł w Paryżu jak bomba. Czasy w polityce jak i w literaturze sprzyjały buntom. Wszędzie węszono wpływy carbonari'ch lub jezuitów. Szał ogarnął Paryż. Korektorzy, wychodząc z drukarni, nagłos deklamowali treść mokrych jeszcze kart książki. Rząd zastanawiał się, czy ma skonfiskować „Paroles d'un croyant", ale obawiał się śmieszności. Władze duchowne przeczuwały grom od strony Rzymu. A tymczasem wydania tego poematu prozą były rozchwytywane. Pewna naiwna siostra Rozalja, znana z niewyczerpanego miłosierdzia, poprosiła Lamennais'go o udział w prawach autorskich dla swoich biednych! Poglądy ścierały się, jak florety.

„Paroles d'un croyant" przełożono na irlandzki i na bretoński. Lamennais był potępiony przez papieża i opiewany przez Berangera.

Co pozostało dziś z jego genjalnego naśladownictwa? Miejmy odwagę przyznać, że wszystko co czerpał z Mickiewicza jest śmieszne: królowie, pijący krew ludzką z czerepów i bladzi jak całun, Ludwik-Filip trzymający się kurczowo worów złota, car Mikołaj, który w piersi ma zamiast serca gniazdo robaków, wszystko to przypomina romanse bulwarowe i kryminalne. Ale jest i dużo stron wzruszających, przeczystych i nieśmiertelnych: o cnocie, „jedynej rzeczy na świecie, która nigdy nie przemija i nie więdnie"; o wygnańcu, „który wszędzie jest sam"; o pokoju, „owocu miłości"; o miłości, „która spoczywa w głębi czystych dusz jak kropla rosy w kielichu kwiatu".

„Je suis partout", Paryż.

Roboty publiczne dla... tancerzy

Fakt, że C. W. A. (Civil Works Association) uznała wreszcie zawód tancerzy i przeniosła ich z gałęzi pracy, do jakiej nie byli specjalnie przystosowani, na teren, odpowiedni do ich zdolności i przygotowania, jest objawem zadawalającym. Niedawno temu pierwsza mała grupka zabrała się do pracy, a może już w tej chwili pełny skład — dwudziestu pięciu tancerzy — przystąpiło do roboty. Praca ta polega na zbieraniu materjału z rozmaitych źródeł dla ułożenia indeksu tańców, jest jedynem w swojem rodzaju przedsięwzięciem w zbiorowych badaniach.

Pod kierunkiem Doroty Lawton, bibljotekarki „Bibljoteki Muzycznej" i jej uzdolnionej pomocnicy, Louisy Pratt, która z „Bibljoteki Tańca" stworzyła tak pożyteczną instytucję, grupy poszukiwaczy rozsyła się po muzeach i bibljotekach, aby zbierały o tańcu dane, jakich poszukiwacz-amator zauważyć nie jest w stanie. Przegląda się więc i segreguje książki podróżnicze, dzieła porównawcze o religji i na insze tematy, w których taniec odgrywa tylko drugorzędną rolę. W ten sposób ma powstać wyczerpująca lista, jakiej brak odczuwa się teraz tak dotkliwie.

Jest to, oczywiście, zaledwie muśnięcie powierzchni wielkiego planu, przed sześciu miesiącami nakreślonego przez Główną Radę dla Spraw Tańca pod przewodnictwem Porcji Mansfield. Do „Rady" tej należy wiele czołowych osobistości ze świata tanecznego, zebranych w luźną organizację, mającą na celu polepszenie pod każdym względem sprawy tańca i tancerzy. Dzięki niestrudzonej Miss Mansfield nakreślono program, który w pierwszych dniach roku bieżącego podano rozpatrzeniu C. W. A. Dopiero teraz pojawiły się pierwsze, narazie nikłe rezultaty, ale jest nadzieja na przyszłość. Bilans tego programu zarysowuje się jeszcze bardzo problematycznie, ale sam program jest tak wyraźnie godzien wykonania i to nietylko dla dobra bezrobotnych tancerzy, ale i dla swych własnych wielkich zalet, że Miss Mansfield i „Rada" nie zaniechają napewno pracy nad dopięciem swego celu.

Między innemi projektami, zawartemi w planie, powstał projekt zbadania wszystkich istniejących systemów zapisek tanecznych i powierzenie wykwalifikowanym rzeczoznawcom wybór, jaki system ma być obowiązujący. Następnie powstał projekt przygotowania pełnej bibljografji z notatkami, dotyczącemi gdzie się książki znadują; ułożenie „Who's Who" (kto kim jest) tancerza i t. p.

Do zupełnie odmiennej kategorji należy projekt objazdów, celem dawania przedstawień baletu, złożonego z zawodowych tancerzy — podobnie jak to czyni teatr, reprezentowany obecnie przez trupę aktorów. Wartość edukacyjna tego projektu nie wymaga chyba żadnych komentarzy. Istnieje również projekt zwoływania trup prowincjonalnych do szkół na tańce ludowe i towarzyskie. I ten plan posiada wielką wartość zarówno jako środek, służący czystej rozrywce i jako system tworzenia nowych widowni.

Również taniec amatorski wydawałby się niezbędny dla rozwoju prawdziwego, ogólnego zainteresowania dla tej tak długo zaniedbywanej sztuki. Jeśliby można wyzyskać tę możność zatrudnienia wielu zdolnych, lecz ubogich tancerzy w dziele tworzenia wielkiego, popularnego ruchu tanecznego, „rada" wyświadczyłaby nim tem olbrzymią przysługę.

„Dance and Music", Nowy Jork.

Brak wielkich talentów pisarskich

Skarga znanego pisarza ang. J. B. Priestley'a

Nie jestem ani starym, ani zgorzkniałym człowiekiem, a mimo to muszę pisać jakbym nim był. W obecnej chwili w świecie literackim dzieje się równie niewesoło, jak na całym świecie. Coś się popsuło. Nie trzeba myśleć, że długi wojenne nigdy nie zostaną spłacone. Są już spłacone i to grubo — zapomocą utraty ludzi genjalnych w pełni sił męskich. I długo jeszcze nie będzie poprawy.

Zastanówmy się nad sytuacją. Zacznijmy od wydawnictw perjodycznych. W mojem pojęciu dziś jest mniej pism godnych czytania, niż dwadzieścia lat temu. Wtedy mogłem z prawdziwą przyjemnością wydać w kiosku na kolei więcej pieniędzy na gazety, niż dzisiaj.

Gazety nie mają już tego poziomu, co dawniej. Większość dawnych „korespondentów specjalnych" miała doskonały styl, a najlepsi z nich tworzyli elitę pisarską. Przypominam sobie, że kupowałem co sobota „Daily News" ze względu na artykuły Chestertona. Nigdy Chesterton nie pisywał lepszych essayów od tych właśnie sobotnich. Nic nie potrafi ich zastąpić.

Wtedy „The English Review" była interesującem czasopismem, poświęconem poezji i powieści. Obecnie nie istnieje żadne pismo literackie, któreby mogło wzbudzić w czytelnikach dziesiątą część tego zainteresowania.

KRYTYKA JEST ZŁA

Dzisiaj jest więcej książek, niż kiedykolwiek, jest coraz więcej książek, ale ani ilość, ani jakość krytyk nie odpowiada tej produkcji.

Krytyki są teraz bardzo złe, zwłaszcza w „Times" i jego dodatku literackim, które należą do najgorszych. Liczba współczesnych krytyków, z których zdaniem inteligentny autor liczyłby się choć trochę, zmniejsza się coraz bardziej i można ich z łatwością policzyć na palcach.

Istnieje mnóstwo autorów, nadających się do czytania — aż nazbyt wielu. Czego nam brak, to pisarzy wyrastających o głowę ponad tłum, mających indywidualność, których dzieła byłyby czemś więcej, niż artykułem przemysłu księgarskiego — a stałyby się częścią dorobku narodowego.

Starsi pisarze, którzy mieli indywidualność, znikają z widowni — tacy jak Conrad, George Moore, Arnold Bennett czy Galsworthy i zdaje się, że niema młodych, mogących zająć ich miejsce. Nie mówię przez to wcale, że brak jest młodych panów czy pań, umiejących pisać mądrze i dobrze, ale ci młodzi ludzie w żaden sposób nie mogą zająć opróżnionych miejsc wielkich osobistości współczesnej literatury.

Ktoś mi na to odpowie, że bez wielkich osobistości można się obejść, że lepiej jest mieć wielką ilość niezłych, nadających się do czytania książek. I prawdą jest to także, że Shaw czy Wells, czy Bennett, czy Chesterton czasami nużą, ale tem niemniej pewien jestem, że tego rodzaju czołowe i interesujące postaci są wielkiem szczęściem dla każdej literatury. Widok ich jest mi milszy od widoku całego mrowiska pisarków.

Są, oczywiście młodzi, dość ciekawi, poeci, tacy jak Auden, Spender, Day, Lewis. Warto ich nawet czytać, ale w żaden sposób nie mogę wyczuć w ich dziełach zarodków przyszłych owoców. Nie wierzę, aby ktokolwiek czytał ich z podnieceniem i entuzjazmem. Nawet wartość tych najlepszych poetów jest średnia.

Każdy dziś pisze powieści. Jako zajęcie dla zabicia czasu stanowi to poważną konkurencję dla ogrodnictwa. Nie martwię się zresztą bardzo z tego powodu. Chcę tylko zaznaczyć, że mimo tej całej niesłychanej aktywności, mimo że jest coraz więcej powieści, jest jakgdyby coraz mniej powieściopisarzy. Mam na myśli, oczywiście, prawdziwych powieściopisarzy, zdolnych do tworzenia przemyślanych dzieł o trwałej wartości, a nie setki często pudłujących amatorów.

W Anglji jest spora ilość pisarzy o różnorodnym zakresie — krytyków, essayistów i t. p. takich jak Belloc, Chesterton, Beerbohm, Tomlinson etc. Wszyscy oni przekroczyli pięćdziesiątkę. Jacy są ich spadkobiercy? A nie trzeba zapominać, że wszyscy oni cieszyli się uznaniem już dwadzieścia lat temu. Jacy są dziś znani, młodzi pisarze ich typu? Możnaby zacytować jedno czy dwa nazwiska i to wszystko.

Faktem jest, że obecnie pisarze tego pokroju mają daleko mniej materjału i że, skoro już piszą, robią to znacznie gorzej, niż literaci dawniejsi.

UBÓSTWO DRAMATU

Z dramatem dzieje się nie lepiej. Olbrzymie powodzenie Noela Cowarda dowodzi, jak niski jest u nas poziom sztuki dramatycznej. Coward jest wyjątkowo mądrym i obrotnym młodym człowiekiem, dostarcza doskonałej rozrywki, ale niema w nim iskry prawdziwej wielkości. Nie jest w swojej dziedzinie, ani w części tak dobry, jak Maugham.

Przyczyna, że jest tak sławny leży w tem, że teren jest prawie zupełnie pusty. Niema genjuszów i dlatego talent i spryt wysuwają się naprzód.

Mówię to wszystko nie w formie zarzutu przeciwko p. Cowardowi, którego uważam za prawdziwego dobroczyńcę publiczności. Przytaczam to tylko na dowód wyjątkowego ubóstwa młodych talentów dramatycznych.

W ciągu najbliższych dwóch czy trzech lat chciałbym odkryć przynajmniej dwa dobre nowe czasopisma, trzech nowych krytyków, których opinja potrafiłaby mnie zainteresować, jednego czy dwóch młodych poetów, którychbym mógł czytać z entuzjazmem, kilku poważnych, prawdziwych powieściopisarzy i paru oryginalnych dramatopisarzy.

Ale, jeżeli ich nie znajdę, będę uważał, że jestem usprawiedliwiony mówiąc i pisząc, jak stary, zgorzkniały człowiek.

„The Clarion", Londyn.

Czołowe uniwersytety za Rooseveltem

W dwudziestu trzech stanach na ogólną liczbę dwudziestu pięciu rząd Roosevelta otrzymał większość głosów w ankiecie przeprowadzonej przez „The Literary Digest" w celu sprawdzenia opinji narodu o nowym rządzie. Oddano 370,491 głosów za rządem, a 255,429 przeciw niemu.

W specjalnem głosowaniu przeprowadzonem na uniwersytetach okazało się, że w przekonaniach studentów zaszła wielka zmiana od czasu kampanji prezydenckiej w r. 1932. W tym czasie „The Yale News" i „The Harvard Crimson" przeprowadziły ankietę, w której Hoover pobił Roosevelta w stosunku 1741 głosów do 620 w Harvard i 1416 w stosunku do 370 w Yale. Obecny wynik ankiety wykazuje wyraźny wzrost wpływów Roosevelta. W Harvard opowiedziało się za polityką Prezydenta 1.083 głosów, przeciw niej 639, w Yale — za Rooseveltem 973, przeciwko niemu 640 osób.

„The American Observer", Waszyngton.

Pielgrzym polski

W Bibljotece polskiej, na wyspie Saint-Louis otwarto wystawę Mickiewicza. W pcdwórzu domu, który przez przeszło pół wieku był punktem zbornym kolonji polskiej, nastąpiło odsłonięcie medaljonu poety. Kilka sal przemieniono w muzeum. Można podziwiać w witrynach rozmaite wydania dzieł poety, który był przyjacielem — więcej nawet! — mistrzem Michelet'a, Quinet'a, Lamennais'go. Jest jego biurko pokryte zniszczoną skórą, wiele sztychów, portrety współczesnych. Na planie Paryża z epoki, pooznaczano kolorowemi pluskiewkami dzielnice, w których kolejno mieszkał „pielgrzym polski".

„Je suis partout", Paryż.

SZALEŃSTWA MIŁOSNE LONDYNU

OGŁOSZENIA NA ŚCIANIE

Wbrew swoim zwyczajom, wszedłem kiedyś na dworcu Waterloo do lokalu z napisem „Gentlemen" — dla panów. Przybytek ten w Londynie jest czysty, wyłożony marmurem. Podczas gdy rozglądałem się dokoła, wzrok mój napotkał, wydrapany scyzorykiem, napis na marmurze: „Chętnie zaznajomię się z młodym marynarzem, silnym, czystym, żwawym etc." Odpowiedź, wydrapana poniżej, brzmiała: „W poniedziałek, 29 stycznia, o wpół do ósmej, na schodach..."

Z trudem mogłem odcyfrować słowa. Poświeciłem sobie. Inne ogłoszenie brzmiało: „Pragnę spotkać starszego pana, nietylko dla pieniędzy, ale i dla miłości."

Wszystkie te napisy były zupełnie nowe, ponieważ na ścianach znać było jeszcze ślady niedawnego odświeżania.

W ten sposób, dzięki przypadkowi, natrafiłem na jarmark zboczeńców. „Oferty" pisane są pod okiem dozorcy w uniformie. Mur jest starożytnym sposobem reklamy. Tak, jak Afrodyta na murach Aleksandrji wypisywała cenę swych nocy miłosnych, tak tutaj zboczeńcy na ścianach przybytku użyteczności publicznej w podziemiach dworca Waterloo wychwalają swe wdzięki. W tej dzielnicy Londynu pożądani są przeważnie marynarze, którzy przyjeżdżają na week-end z Portsmouth, Southampton i innych portów południowej Anglji.

Wybrałem jedno z ogłoszeń i wyznaczyłem nieznajomemu przyjacielowi rendez-vous.

BAL KOSTJUMOWY

Nie był to marynarz. Był to młody, dość starannie ubrany człowiek o pewnem wykształceniu. Na imię miał Harry. Ciężkie warunki życia skłoniły go, jak mi powiedział, do obrania sobie tego łatwego i rentownego zawodu. Stał się moim przewodnikiem i przyznaję, że orjentował się doskonale.

Londyn nie posiada tak, jak inne, rzekomo mniej cnotliwe stolice takich lokali, w których cudzoziemcy mogliby zaspokoić swą ciekawość. Każdy klub ma tu jakiś cel praktyczny. Kluby, poświęcone kultowi spraw, zakazanych przez prawo, jako „psujące obyczaje poddanych Jej Królewskiej Mości" są liczniejsze, niżby można przypuszczać i mają klientelę stałą i rekrutującą się spośród wszystkich warstw społeczeństwa. Wymienia się tam nazwiska, w które trudno uwierzyć. Niedawno temu policja wtargnęła do pewnej sali tańca i zatrzymała około 270 osób, które nie poświęcały się wyłącznie kultowi Terpsychory... Nie było wśród nich ani jednej kobiety.

W hallu hotelowym służący wsunął mi do ręki zaproszenie na wieczór kostjumowy w jednym z domów w Holland Parku. Dom był zwykły, mieszczański, o fasadzie tak niewinnej, jak twarz przeciętnej młodej angielki. Wejście kosztowało szylinga i pół, było więc dostępne dla każdej kieszeni. W dużej sali na parterze, zamienionej w dancing, było około trzydziestu osób, w których, mimo przebrania, łatwo było poznać mężczyzn. Większość z nich nosiła wydekoltowane suknie kobiece, ale byli i tacy, którzy mieli na sobie stroje marynarzy, toreadorów, chłopców. Prawie wszyscy byli młodzi, mieli jaskrawo wymalowane wargi i uszminkowane tuszem rzęsy.

Wszyscy tańczyli, pili, śmiali się, nawoływali: „Chodź do mnie, kotku! Violetto, najdroższa moja, wypij trochę wódki!"

Harrego i mnie wpuszczono bez żadnych trudności. Nie żądano od nas żadnej rekomendacji, a pojawienie się nasze na sali przyjęte zostało porozumiewawczemi uśmiechami.

Jedna z tych „kobiet-mężczyzn" zbliżyła się do Harrego i zaprosiła go do tańca, pytając: „Jaką mnie wolisz? królewną, czy królem?" W klubie tym praktykowano bowiem zabawę zamienną. Zamieniano się rolami. Ten, który w jednym tańcu był „królewną" w następnym stawał się „królem" etc. Każdy więc mógł zabawiać się wedle swego upodobania. Od czasu do czasu obejmujące się parki znikały w ciemnościach przyległego ogródka.

Zaznaczyć należy, że wszyscy ci mężczyźni, nawet w przebraniu kobiet, nie mieli wyglądu zniewieściałego, który można zaobserwować w niektórych dancingach, gdzie praktykuje się więcej ekshibicjonizmu niż czegoś innego. Mimo przebrania, nie zatracali cech męskich. Nie byli to zawodowcy, zarabiający w ten sposób na życie; byli to osobliwego gatunku zakochani, prawdziwi wyznawcy swoistego kultu.

NOCNE KLUBY

Ponieważ byliśmy już w transie, Harry zaprowadził mnie do jednego z rzadkich klubów nocnych Londynu, które oparły się „czystce", przedsięwziętej przez cnotliwego ministra spraw wewnętrznych i szefa policji, wspólnemi siłami dążących do oczyszczenia tego, co nazwali „stajnią Augjaszową" Londynu.

Jakkolwiek udało im się w części ograniczyć hulanki, które nadszarpywały wiele fortun, niedorzeczne byłoby twierdzenie, że udało im się oczyścić zupełnie „noce Londynu". Zresztą, dla przypodobania się kilku herbowym panom, pozwolili prosperować kilku nawpół tajnym klubom, których policja strzeże zazdrośnie przed oczyma niedyskretnych. Rozpusta londyńska, za zamkniętemi drzwiami, ma coś obrzydliwego w wyuzdaniu i swobodzie, doprowadzanej do granic ostatecznych.

Zużyłem niemało cierpliwości, wytrwałości i kieliszków whisky, zanim zdołałem namówić Harrego, żeby mnie zaprowadził do klubu Twenty Four. Jest on w dzielnicy Soho, w wąskiej i ciemnej uliczce, gdzie pachnie zbrodnią i tanią, sprzedajną miłością. Wielki chłop herkulesowej budowy, ustrojony medalami ze wszystkich wojen tego świata, ogromną swą postacią zasłania wejście do ciemnego korytarza. Na wąskich schodach spotykamy wychodzącą parę: pana we fraku i damę w wielkiej toalecie balowej.

Formalności wstępne są daleko prostsze, niż przypuszczałem. Harry podpisał się w książce i zapłacił gwineję (21 szylingów) za bilet wstępu. Zagwarantował za mnie tak, jak to czyni członek parlamentu, wprowadzający gościa na posiedzenie.

Wytworny „groom" i lokaj w krótkich spodniach i białych pończochach z podwiązkami, bardzo przypominającemi odznakę królewskiego orderu, zdejmują nam palta. Wchodzimy do sanktuarjum, do jasnej sali, oświetlonej sznurami żarówek. W środku na mocno wywoskowanej podłodze kręcą się powoli i smutnie pary. Taniec jest tu tylko pretekstem. Ci, którzy tu bywają, przychodzą tu pić, pić i wybierać kobiety. W urządzeniu znać gust pewnej wytwornej lady, która jakoby udzielała swych wskazówek. Wszystko jest w kontrastujących, jaskrawych i ciemnych barwach. Orkiestra gra w niewidocznej niszy, osłoniętej kwiatami. Kwiatów jest wogóle dużo — i wcale niebylejakich.

Nasze kieliszki są napełniane automatycznie. Duszą tego przedsiębiorstwa jest kobieta. Mniejsza o jej nazwisko, ale ma pewien szynt. Trzeba podziwiać, jak krąży od stolika do stolika, zapoznaje parki, rozdziela je — tak, właśnie! — i zachęca, oczywiście do picia. Robi to wszystko, jak wielka dama. Jest już zupełnie niemłoda; nie nosi nawet śladów piękności. Wysoka i chuda, ma ściągna szyji tak wystające, że tworzą podstawę dla małej, zwiędłej główki o twarzy pomarszczonej i umalowanej, jak stara dekoracja teatralna. W tej starczej twarzy tylko oczy mają młodzieńczy blask.

Zależy tej pani na utrzymaniu poziomu. W jej klubie tańczy się, pije, całuje. Niema gabinetów, jest tylko salon, gdzie nawiązuje się „kontakt". Klub jest przedpokojem sypialni, a ona zgóry ściąga procent od przyszłych miłostek.

Na miejscu wszystko odbywa się mniej więcej poprawnie, mniej więcej przyzwoicie aż do pewnej godziny. Przy stolikach nie mówi się o miłości. A mimo to wszystkie te parki nie myślą o niczem innem, tylko o rozkoszy, której się wspólnie oddadzą, kiedy alkohol dostatecznie ich podnieci. Kobiety w sutych szyfonowych sukniach wyglądają jak wielkie lalki, chude a wysokie, jak duże pajace z drzewa, o głowach delikatnych, jak porcelana z Chelsea.

MIŁOŚĆ W PARKACH

Od niepamiętnych czasów wiele się pisało o parkach londyńskich. A mimo to nie pisało się dosyć, bo każdy francuz, którego tam prowadzę, jest trochę zgorszony.

Parki londyńskie są nietylko rezerwuarami świeżego powietrza dla miasta-olbrzyma, nietylko miejscem spacerów dla rodzin i zabawy dla dzieci. Zastępują brak hoteli i schronienia dla zabaw miłosnych.

Kiedyś w St. James Park przechodziłem obok parki, której namiętny uścisk pozwalał na dalekoidące przypuszczenia. Widać było ramiona kobiety, ściskające szyję mężczyzny. W tej samej chwili minąłem starszą parę, wolno się przechadzającą i usłyszałem, jak kobieta powiedziała do męża, wzrokiem wskazując leżącą na trawie parę: „Patrz, to nasza Mary i jej chłopiec". W jaki sposób zdołała poznać córkę? Była to zresztą jedyna wypowiedziana uwaga... Ojciec i matka przeszli, marząc zapewne o minionych czasach własnej młodości...



Ogólny widok stolicy W. Brytanji.

Nie znałem dotąd Hyde-Parku. Zdążyłem tylko zauważyć olbrzymie strzyżone murawy, przeznaczone na wielkie meetingi ludowe, trawniki, gdzie we dnie sypiają dziesiątki bezrobotnych. Ale są w parku i zakątki, które stanowią radość dla oczu, cieniste aleje pod sklepieniem wielkich drzew, i Serpentyna o śpiących wodach. To zresztą nie jest wszystko.

O kilka kroków od dziewcząt Armji Zbawienia, które, stojąc kołem, poświęcają Bogu duszę, zauważyłem na trawniku jakąś nieforemną grupę. Zbliżyłem się i stwierdziłem, że było to czworo nóg, wystających spod lekkiego palta: dwa kobiece pantofle i dwa męskie buty. Noc zwolna schodziła na wielkie połacie trawników. Wzdłuż alejek zapalały się migotliwe gwiazdy. Na gazonach mnożyły się ciemne pagórki, jak duże kretowiska. Parki siedzące na blisko zsuniętych krzesłach szeptały coraz czulej.

Uderzył mnie szczególny sposób rozstawiania krzeseł w parkach londyńskich. Ustawia się je zawsze parami, po dwa razem. Wygląda to zupełnie niewinnie, ale należy się strzec. Sławni ludzie — między innymi bardzo znany polityk i dawny szef policji miejskiej, — którzy skusili się i przysiedli, popsuli sobie reputację i zwichnęli karjerę.

Trawniki są bardziej bezpieczne.

Szukałem przygód. Zapuszczałem się w najciemniejsze zakątki, potykając się o leżące parki, które nawet nie protestowały i obrałem sobie punkt obserwacyjny. Ciekawość moja szybko została zaspokojona. Wpobliżu usłyszałem młody, prawie dziecinny głos: „Oh, Peter, co powie mama? pogniotłeś mi całą koszulkę!..." To naiwne wyznanie brzmiało zupełnie niedwuznacznie.

Moje odkrycia nie ograniczyły się do tego. Pod drzewem zauważyłem dwie postacie, siedzące na omawianych już bliźniaczych krzesłach. Po czerwonej bluzie poznałem w jednym z nich żołnierza gwardji. Drugi osobnik był w ubraniu cywilnem. Zachowywali się dosyć osobliwie. Nagle, z kępy drzew, wysunęły się dwa cienie. Zbliżyły się powoli, ostrożnie do siedzącej pod drzewem parki, nie ruszając osób rozciągniętych na trawie. Były coraz bliżej krzeseł, na których niczego nie podejrzewano. Jednym skokiem dwaj policjanci — bo to byli policjanci — rzucili się na dwóch mężczyzn. Nie było oporu, ani usiłowania ucieczki, usłyszałem tylko ton prośby w głosie... W minutę później, cała grupa przeszła obok mnie, kierując się na posterunek policji. Mężczyźni poprawiali na sobie naprędce ubrania...

Znałem już zatem Hyde-Park. Dowiedziałem się, jaka miłość ukrywa się w jego mrokach. Wiem odtąd, dlaczego stojące parami krzesła są zawsze puste i dlaczego ludzie wolą trawniki nawet wilgotne; wiem także w jaki sposób młodzi żołnierze z gwardji, w ściśle obligających ciało opertekowych bluzach, zdobywają poboczne zarobki.

WEEK-END

Angielki znoszą miłość bez drgnięcia powiek. Może dlatego tak łatwo oddają się swoim „chłopcom", nie tracąc tego cudownie niewinnego wyrazu oczu? I może stąd wypływa ich swoboda w obcowaniu, swoboda, którą można by określić może jako prowokację?

W każdą sobotę popołudniu tysiące młodych dziewcząt wyjeżdża w towarzystwie chłopców na wieś czy nad morze, aby zdala od miasta spędzić koniec tygodnia. Wszystkie dziewczęta są „uczciwe".

Ale nietylko młode dziewczyny korzystają z tej tolerancji w obyczajach angielskich. Zdarza się dość często, że kobieta zamężna otwarcie wyjeżdża do Francji na week-end, który bynajmniej nie jest tak niewinny, jakby się mogło wydawać. Już biskup Londynu protestował przeciw temu, co nazywa rozpustą. „Bardzo trudno było mi przekonać, mówił, pewną niewiastę, że popełniła cudzołóstwo, jadąc na week-end do Brighton, do przyjaciela swego męża."

W angielskich miejscowościach kąpielowych niema domów gry. Jedynemi rozrywkami są kąpiele, koncerty, tańce i plażowanie. Wygląda to zbyt solidnie, żeby mogło być prawdą. I nie jest prawdą.

Anglicy mają rozrywki u nas nieznane. Któregoś wieczora byłem z wizytą u bliskich przyjaciół. Opowiadali, jak spędzali czas podczas wakacyj.

Sześć małżeństw wynajęło wspólną willę w Eastbourne. Żyli ze sobą intymniej, niż w rodzinie. Żadna z kobiet nie miała tajemnic dla żadnego z mężczyzn i nawzajem. Nie mogę przysiąc, czy kobiety nie spały co noc w innem łóżku. Była to rozrywka, która zyskała ogólną aprobatę.

ZŁAMANIE SŁOWA

Pewien mój przyjaciel, który mieszkał długo w Anglji powiedział mi przed wyjazdem: „Uważaj tylko, nie angażuj się zbytnio w stosunku do angielek".

Ostrzeżenie wydało mi się dość błahe. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby było prawdą to wszystko, co opowiadano mi o niebezpieczeństwach flirtu z młodemi dziewczynami. W taki sposób musiałbym być skazany, podczas pobytu w Londynie na tryb życia pustelnika, podczas gdy tyle pięknych nóżek, ładnych twarzyczek i zachęcających uśmiechów wzbudza w człowieku chęć do czegoś zupełnie innego. A, znowu ograniczać się do mężatek, czy do międzynarodowych kokot z okolic Leicester Square — nie!

Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby w mieście, w którem wszystkie środki bezpieczeństwa w miłości, wystawione są w oknach aptekarzy, rozpoczęcie rozmowy nawet niewinnej groziło skutkami takiemi.

Razu jednego zbliżyłem się na Oxford

(Dokończenie na str. 13)

PIRACI XX WIEKU: Rozbój na wodach chińskich

ELEGANCCY PANOWIE W ROGOWYCH OKULARACH

Prasa angielska ostatnio często notuje niezwykle zuchwałe napady pirackie, dokonywane na wodach chińskich.

Niedawno bandyci chińscy porwali pięciu anglików, i trzeba było całej małej floty, aby pochwycić napastników i uwolnić porwane przez nich ofiary.

Niebezpieczeństwo pirackie obecnie stale zagraża statkom wzdłuż brzegu morskiego między Singapore a Szanghajem.

Piractwo stało się obecnie zawodem w Chinach. Jest ono świetnie zorganizowane pod kierownictwem chińczyków o dystyngowanym wyglądzie, w rogowych okularach ubranych po europejsku.

I w tem się kryje właśnie tajemnica, dlaczego piraci chińscy są nieuchwytni. Kierują nimi bowiem ludzie poważni, którym dobrze znana jest siła przekupstwa wśród urzędników.

Anglikowi taki stan rzeczy wydaje się fantastycznym Ale jedna wizyta do Chin wystarczyłaby, aby go przekonać, o ile tylko ma oczy otwarte, że wszystko jest możliwe w kraju, gdzie korupcja i przekupstwo są na porządku dziennym.

Świat podziemny w Chinach z jego tajnemi stowarzyszeniami nie ma czego się uczyć od Chicago, raczej mógłby czegoś nauczyć gangsterów chicagoskich.

Piraci są narzędziami w rękach różnych wysoko postawionych chińczyków w Szanghaju i innych wielkich miastach chińskich, którzy potrzebują pieniędzy dla utrzymania różnych swoich partyj politycznych. Kierują oni operacjami w doskonale urządzonych biurach — często pod maską jakiegoś niewinnego handlu — a zdobycze dzieli się, jak zyski towarzystw akcyjnych.

W swoim czasie powstał plan wspólnej ekspedycji karnej, angielskiej i chińskiej, w celu oczyszczenia zatoki Bias, która jest stałem miejscem tych napadów. Ale z tego nic nie wyszło. Przyczyny nie trzeba było długo szukać. Oczyszczenie zatoki Bias mogłoby coś wykryć, co nie przysporzyłoby honoru chińczykom w opinji międzynarodowej.

Anglja postanowiła wobec tego działać na własną rękę i ustanowiła warty przeciwpirackie na wszystkich okrętach angielskich, udających się z Singapore do brzegów chińskich.

Warty te umieszczono na mostku okrętowym, gdzie pełniły służbę przez całą drogę. Byli to świetni strzelcy z garnizonu singaporskiego, należący do sławnego pułku piechoty. Skutek był zadziwiający.

LEGOWISKO PIRATÓW

Zatoka Bias, legowisko piratów, znajduje się w prowincji Kwantung. Otoczona niebezpiecznemi skałami, ma ona wygląd niesamowity.

Mało kto z marynarzy ryzykuje przepłynąć tę zatokę bez pomocy miejscowego pilota.

Główna metoda piratów polega na tem, że zapisują się oni jako pasażerowie normalni, napadu zaś dokonywują, gdy statek znajdzie się daleko w morzu — najczęściej w pobliżu zatoki Bias — albo w połączeniu z atakującą dżonką, według zgóry ułożonego planu.

Kto zna stosunki w miastach chińskich, ten nie może się dziwić, że ci bandyci mają tak łatwy dostęp do okrętów, mimo, że są uzbrojeni. Są oni bowiem, jak już wspomniano, ubrani jak dżentelmeni, a nikt nie może zabronić takiemu dżentelmenowi chińskiemu noszenia broni palnej z uwagi na grasującą w miastach chińskich plagę bandytyzmu i porywania ludzi zamożnych.

Przykładem takiego napadu może służyć wypadek ze statkiem „Prominent", który stał się ofiarą piratów w zeszłym roku. Statek płynął spokojnie wśród martwej ciszy wodnej, i wszyscy udali się na spoczynek nocny, kiedy jakaś tajemnicza figura ukazała się na mostku.

Przedewszystkiem obezwładnił on wartownika, podkradając się doń z tyłu, poczem zaatakował pierwszego oficera, który znajdował się na warcie. Tymczasem jego wspólnicy zajęli korzystne punkty w różnych miejscach, z podniesionemi rewolwerami w rękach.

Słysząc odgłosy walki na mostku, kapitan, który już spał w swojej kabinie, wyskoczył w tej samej chwili, kiedy pierwszy oficer został rzucony na dolny pokład. Po chwili kapitan również został obezwładniony przez dwuch innych piratów.

Łódź policyjna, która usłyszała strzały, puściła się w pościg za bandytami. Lecz piraci zdążyli tymczasem opuścić statek, zabierając ze sobą kilku bogatych chińczyków na chińską dżonkę, która w sposób tajemniczy wynurzyła się z mgły.

Łódź policyjna przybyła w kilka godzin później i uwolniła oficerów, a statek popłynął dalej.

GRZECZNI RABUSIE

Napad wykonywany bywa w sposób niezwykle grzeczny, choć zdecydowany. Kapitan statku nagle spostrzega rewolwer podniesiony przed jego głową, otrzymuje polecenie patrzenia wprost na zatokę Bias, gdzie zostanie on uwolniony po zrabowaniu ładunku.

Statek porzuca się wśród morza, daleko od zatoki. Oficerowie i załoga umieszczeni bywają w łodziach z zapasem prowjantu na kilka dni i, żegnając się grzecznie, bandyci się oddalają.

„The Daily Herald", Londyn.

Doskonała organizacja napadów

Podróże morskie wzdłuż wybrzeża chińskiego od Singapore stały się w ostatnich czasach bardzo niebezpieczne, wskutek często powtarzających się napadów pirackich.

Wyczyny piratów chińskich są wprost nie do uwierzenia. Napady te dokonywane są według zgóry opracowanych planów z niezwykłem zuchwalstwem.

Często napady te są dokonywane przez 20 do 30 osób, którym udaje się w ciągu kilku chwil owładnąć wielkim statkiem z uzbrojoną załogą i nieraz tysiącem pasażerów. Cały statek bywa przez bandytów uprowadzony do ich przystani, gdzie zostaje ogołocony ze wszystkiego, co posiada jakąś wartość.

Ich służba wywiadowcza jest wprost zadziwiająca. Wiedzą oni wszystko dokładnie o każdym okręcie, i prawdopodobnie mają swoich szpiegów w miejscowych bankach chińskich. Plany swoje układają na kilka tygodni zgóry na podstawie ścisłych informacyj. Przed ostatecznem wykonaniem zamachu teren bywa zbadany do najdrobniejszych szczegółów.

Kapitan Laurenson, który w charakterze sekretarza Związku Oficerów Wybrzeża Chińskiego w Hongkongu przez 12 lat badał wszystkie sprawy, dotyczące piractwa chińskiego, i jest najlepszym znawcą tych stosunków, powiada o tem, co następuje:

— Każdemu znane są te przystanie, gdzie piraci wpędzają opanowane przez nich statki, a mimo to jeszcze żaden z tych piratów nie został ujęty. W ciągu 12 lat miałem bezpośrednio do czynienia z temi sprawami, ale nie znam wypadku, ażeby jeden z piratów oddany był w ręce sprawiedliwości.

— Żółte piractwo nietylko nie upada, lecz przeciwnie, rozwija się. Metody piratów chińskich są nadzwyczaj pomysłowe i zawsze mają powodzenie. Taktyka ich polega na tem, że napady dokonywane są znienacka, w chwili, gdy nikt się tego nie może spodziewać. Dostają się oni na okręty jako zwykli pasażerowie.

Życie kapitana angielskiej służby handlowej jest prawdziwem piekłem. Nigdy nie może on wiedzieć, kiedy jego pasażerowie okażą się piratami. Strzał wśród ciszy nocnej zazwyczaj jest pierwszym sygnałem do napadu. Jeżeli atak się nie udaje, to piraci rzucają swoją broń do morza i znikają w tłumie pasażerów, śpiących na pokładzie. Nikt nie ośmieli się kogokolwiek z piratów wydać.

— Piraci nieraz wykazują względem swoich ofiar bezprzykładną grzeczność. Ilustracją może posłużyć wypadek ze statkiem Hydrangea w r. 1933.

— W czasie obiadu, kiedy podano na stół rybę, jeden z gości o dystyngowanym wyglądzie dżentelmena chińskiego w białem, jedwabnem ubraniu przeprosił kapitana Brewera, z którym rozmawiał w świetnej angielszczyźnie, udał się wzdłuż pokładu do żelaznego ogrodzenia, oddzielającego pierwszą klasę od reszty okrętu, wyciągnął rewolwer i powiedział do wartownika indyjskiego: „Otwórz przegrodę, albo cię zastrzelę. Oddaj karabin i klucze". Wartownik usłuchał i chińczyk dał wystrzał w powietrze. Kapitan Brewer i inni pasażerowie byli jeszcze przy obiedzie. Inny pasażer chiński nagle wyciągnął rewolwer i obezwładnił kapitana. Pozostali oficerowie obezwładnieni zostali w podobny sposób przez innych piratów.

Zabrano wszystko, co pasażerowie posiadali, i kiedy okręt wszedł do zatoki Bias, ukazały się dżonki, które zabrały łup.

Przed opuszczeniem okrętu piraci wręczyli kapitanowi banknot pięciodolarowy, aby miał na drobne wydatki po przybyciu do Hongkongu.

„Time and Tide", Londyn.

Szaleństwa miłosne Londynu

(Dokończenie ze str. 12)

Street do pewnej ślicznej dziewczyny, która bez wahania zgodziła się na propozycję wspólnego pójścia do kina. Po dziesięciu minutach znajomości zapytała: „Czy podobam się panu?" Przed końcem filmu, podała mi usta i spytała: „Czy mnie kochasz?"

Mimo, że bardzo chciałem dowieść jej mojej miłości, wstrzymał mnie strach, że będę musiał uciekać z Anglji, jak złodziej, albo wypłacić grubą sumę odszkodowania. Nie wyznaczyłem jej następnego spotkania i ograniczyłem się do przelotnych pieszczot.

Wszystko mnie zresztą skłaniało do ostrożności, a zwłaszcza nacisk, jaki dziewczyny kładą na to, żeby powiedzieć im odrazu, że się je kocha. Co niedziela czytałem w gazecie opis nowej sprawy o złamanie słowa. Opisy te były okresowemi nawoływaniami do solidności, tak jak wielkie plakaty, rozwieszone na żywych reklamach, które przypominają ci o istnieniu Boga. Flirt jest sportem, mogącym dużo kosztować, od stu do pięciuset funtów! I wszystko to dlatego, że jakaś dziewczyna wbiła sobie w głowę, że koniecznym skutkiem komplementów, wspólnych spacerów, nic nieznaczących prezentów, musi być małżeństwo

Można nierzadko trafić na wyrachowane osoby, które jako przygotowanie do małżeństwa, albo do sprawy o złamanie słowa kupują bieliznę, suknie i najrozmaitsze sprzęty domowe. Grace Lacy, portjerka w kinie, przedstawiła jako dowód obietnic małżeństwa sześć kieliszków do jajek, po penny sztuka, kupionych u Woolworth'a, w sklepie jednolitych cen. Najbłahszy list może stanowić dowód w sprawie.

I jak tu, w tych warunkach, myśleć o miłości!

SPIENIĘŻANIE WDZIĘKÓW

Anglja jest krajem, w którym znaleziono sposób na spieniężanie wszystkiego, nawet sentymentów. Sentymenty mają tu swoją taryfę i wartość obiegową i dziwić się należy, że nie notuje się ich na giełdzie.

King's Bench Division w Sądzie londyńskim, mogłaby stanowić znakomity teren do obserwacji dla autorów powieści obyczajowych. Często tam bywałem i spotykałem przynajmniej połowę najlepszego towarzystwa. Rozwody są w Society na porządku dziennym i wydaje się, że w ogólnej tolerancji rola prawa jest zupełnie zdawkowa. „Wyższe sfery towarzyskie w Anglji są literalnie niszczone przez chorobę separacyj", powiedział pewien sędzia. Kobiety rozwodzą się po dwa, trzy a nawet cztery razy. Najciekawsze, że zawsze znajdują mężów. Rozwód stał się dla nich świadectwem małżeńskich uzdolnień.

Widziałem i słyszałem zdumiewające rzeczy w King's Bench. Taki np. wypadek aktorki, późniejszej hrabiny M... Wytoczyła proces rozwodowy mężowi, bynajmniej nie dlatego, że ją zdradzał, ale że nie mógł jej zdradzać! Szczytem wszystkiego jest, że przed ślubem długo była kochanką hrabiego, wiedziała zatem, wychodząc za niego, czego się może spodziewać, a raczej, czego się spodziewać nie powinna... Obyczaje angielskie są tak dziwaczne!

Na King's Bench nie widuje się wcale ludzi prostych. Przedewszystkiem jest to dla nich za droga przyjemność, a pozatem, rozwody ich odbywają się najczęściej przed sądem karnym. Żenią się powtórnie, nie rozwodząc się wcale. Wypadki bigamji są bardzo częste. Charakterystyczny jest przykład pewnej kobiety, która miała dwóch mężów: jednego na dzień, drugiego na noc. Sytuacja ta trwała przeszło dwa lata, ku zadowoleniu obydwu mężczyzn.

Mógłbym cytować setki rozmaitych spraw. Niedawno temu, sądzono w Liverpoolu sprawę następującą: Dwie młode niewiasty połączyły się węzłem małżeńskim i jak zwykle w takich wypadkach, jedna z nich udawała niewinną, twierdząc, że nie zauważyła nic anormalnego w swoim „mężu" ani przed, ani po ślubie. „Mąż mój zachowywał się zupełnie jak mężczyzna", oświadczyła „żona", którą odesłano do rodziców. O dziwne obyczaje, które dopuszczają jednocześnie tyle niewinności i tyle zepsucia, że trudno je pojąć! *„Voila", Paryż.*



Przykro mi, że muszę zwolnić Panią, ale jaja wydają się przy Pani zbyt maleńkie...

„Passing Show", Londyn.

André Birabeau

RUDOLF

Ze stołowego pokoju dochodził łoskot trzech maszyn do pisania... W łazience Józef starał się przy pomocy szczotki i grzebienia wykreślić we włosach równy przedział, gwiżdżąc przytem melodję foxtrotta. Nagle jedna z maszyn umilkła. Jakiś głos zawołał:

— Żożo!...

Józef odpowiedział:

— Nie nudź!

Głos, o ton wyżej, odkrzyknął:

— Ależ, chłopcze, cóż ty sobie myślisz!

Józef przez uchylone do jadalni drzwi wysunął głowę.

— Przepraszam cię, mamo, myślałem, że to Fernanda!

— Co za różnica, mój chłopcze, nawet w stosunku do siostry możesz być grzeczniejszy!...

Fernanda w triumfie zagrała marsza na nosie. Żożo odpowiedział jej brzydkim grymasem.

— Chciałam cię prosić, żebyś, wracając w południe do domu, przyniósł mi pięć plasterków szynki... Z pieczenią z wczorajszej kolacji powinno starczyć na obiad... i nie będę musiała umyślnie schodzić, rozumiesz... Uważaj, żeby szynka nie była za tłusta i żeby plasterki nie były za grube... Kiedy kupuje mężczyzna, sprzedawczynie zawsze starają się przeważyć towar. Jeżeli szynka będzie tłusta, nie bierz jej i idź do innej wędliniarni.

— Oh! Oh!

Fernanda parskała śmiechem, patrząc na brata.

— O co znów ci chodzi? — zgromiła ją matka.

— Czy rzeczywiście przypuszczasz, mamo, że Pan Hrabia ośmieli się wyjść ze sklepu, nie nie kupiwszy?

— I w dodatku podziękuje, kiedy mu wtryną fałszywą monetę! — dodała Irena.

Józef zarumienił się. I, ponieważ czuł, że się rumieni, zaczął krzyczeć.

— O wy! idjotki! Ja wam pokażę, czy nie zdobędę się na wejście do sklepu! Wstąpię właśnie do księgarni i poproszę o mały słowniczek i mały podręcznik gramatyki dla moich dorosłych sióstr, stenotypistek, które niestety nie znają ortografji!

Irena aż krzyknęła z oburzenia, a Fernanda rzuciła w głowę brata gumą do wycierania. Przez zemstę, Józef chwycił za pudełko z kalkami.

— Dość tego, krzyknęła matka. Sto razy zabraniałam wam kłótni!... W każdym razie proszę zostawić w spokoju przybory do maszyny.

— To one zaczęły, mruknął Józef.

— Jesteś mężczyzną i powinieneś być mądrzejszy od nich.

Dwa krótkie wybuchy śmiechu powitały słowo „mężczyzna".

— Idź już, Żo, bo się spóźnisz. A nie zapomnij o szynce!

Przechodząc do swego pokoju, Józef szybkim ruchem pociągnął obie siostry za włosy, poczem, zadowolony, wyszedł.

Ogień maszyn do pisania otwarł się znowu.

*

Pan Godillet ojciec był kopistą. Mówiąc ściśle, był nim dawniej.

„Ja jestem, mawiał do żony i do dzieci, rzemieślnikiem-artystą, wy jesteście robotnicami".

Bo sam pochodził z epoki, kiedy przepisywano ręcznie. Pisał rondem i jego charakter pisma miał swobodę lotu; litery były pięknie cieniowane. Pracował w biurze przepisywań dla literatów i dziennikarzy. Przez całe lata przez ręce jego przechodziły bruljony dzieł mistrzów i grafomanów: przekształcał je w pięknie wykaligrafowane broszury, jeszcze żywe, jeszcze ludzkie. Potem przyszła maszyna, zupełnie wprawdzie mała, tak mała, że młoda dziewczyna mogła ją jedną ręką utrzymać. I wystarczyło tej właśnie maszyny, aby go zmieść.

— Niech się pan nauczy pisać na maszynie, powiedział mu jego szef. To kwestja kilku tygodni ćwiczenia.

Spróbował, bo trzeba przecież żyć, ale nie umiał. Łokcie jego, przywykłe do rozkosznego rozpierania się na stole, nie umiały trzymać się sztywno ciała; grube palce, które tak delikatnie potrafiły kreślić wymyślne arabeski liter, nie mogły uderzać w klawisze właściwym, krótkim a brutalnym ruchem; trafiały trzy litery naraz. Zrezygnował więc z nauki. Ale, ponieważ mimo wszystko trzeba było jakoś żyć, do maszyny zabrała się żona i nauczyła pisać dzieci. I w ten sposób pan Godillet, który nienawidził maszyny, w domu musiał znosić aż trzy, żył w wiecznym ich stuku i ach! żył właśnie dzięki nim...

— Nie trzeba było na to skazywać dzieci! mówił z wyrzutem do żony.

— Ale trzeba przecież, żeby coś umiały... Wolę więc, żeby moje córki były stenotypistkami pod mojem okiem, niż modystkami czy krawcowemi na mieście. Zawsze to pewniejsze dla matki.

Tak, ale najgorsze, że nauczyła stenografji i maszyny także i syna Józefa!...

Był teraz sekretarzem w firmie Mayer i Silverin... A biedny pan Godillet, zagubiony w rodzinie stenotypistów, uważał się za czterykroć zdradzonego, czterykroć zawiedzionego w nadziejach!...

*

Suchy szczęk maszyn do pisania trochę przypomina także głos świerszcza. Każdy ma takie świerszcze, na jakie go stać. Paryż, który jest lasem ze stali, ma stalowe świerszczyki. W firmie Mayer i Silverin rozlegał się szczęk dziesięciu maszyn. Na stuk laski i odgłos kulejących kroków podniosły się głowy stenotypistów.

— Szef idzie!

I jednocześnie wielogłosowy i skłębiony stukot stał się jeszcze szybszy i donośniejszy. Drzwi otwarły się; wszedł pan Mayer.

— Dzieńdobry panom! — powiedział.

Wszyscy obecni byli mężczyznami. Tak chcieli panowie Mayer i Silverin.

Dawniej było wprawdzie inaczej. Przez całe lata ta źle oświetlona sala biurowa wydawała się jaśniejsza: pełno w niej było blond włosów, jasnych bluzek, gołych ramion, cielistych pończoch... Niestety jednak, firma to byli panowie Mayer i Silverin. To znaczy dwaj mężczyźni. I, podczas gdy pan Mayer w sprawach tyczących miłości przejawiał wielką żarłoczność, cechującą ludzi jego pochodzenia, pan Silverin był, przeciwnie, wielkim smakoszem. Skutek był taki, że obaj panowie zawsze jednocześnie zasiadali przy tych samych stolikach. Kiedy właścicielki blond włosów i cielistych pończoch były wdzięczne i solidne, stawiały opór panu Mayerowi ze względu na pana Silverina, a panu Silverin ze względu na pana Mayera, co bardzo utrudniało wzajemne stosunki tych panów. A kiedy właścicielki jasnych bluzek i gołych ramion były obojętne i frywolne, pan Mayer przypinał rogi panu Silverin, lub pan Silverin panu Mayerowi i stosunki ich nie stawały się dzięki temu lepsze. Pewnego dnia jeden rzekł do drugiego:

— Niech pan posłucha: zawrzyjmy umowę: pól na pół.

— W jaki sposób?

— Podzielmy je między siebie.

Na nieszczęście, ochotę mieli zawsze na te same. Wtedy przedsięwzięli środek bardziej radykalny: wymówili posady kobietom. Bo ci dwaj panowie byli przedewszystkiem kupcami.

Pan Mayer, kulejąc, przeszedł między stolikami i zatrzymał się obok Józefa.

— Chciałbym przeczytać list, który panu podyktowałem. Czy to ten?

I sięgnął po papier leżący na biurku. Józef zarumienił się gwałtownie i odebrał szefowi papier.

— Nie, panie szefie, nie! To jest ten list!

Serce mu biło. Biło głupio, bo dobrze przecież wiedział, że pan Mayer nie znał stenografji. Ale mimo wszystko biło mu serce!... Jak gdyby uniknął wielkiego niebezpieczeństwa czy wielkiego upokorzenia.

Ach, bo przecież ten pokryty nieczytelnemi znaczkami papier, to był stenografowany, miłosny list.

*

Jeżeli Józef tak bardzo się złościł, kiedy siostry drażniąc się z nim, śmiały się z jego nieśmiałości, czynił to, ponieważ sam aż nadto dobrze wiedział, jak bardzo był nieśmiały. Miał osiemnaście lat, wiek, kiedy nieśmiałość najbardziej przeszkadza, najbardziej męczy.

Wszyscy ludzie nieśmiali marzą o tem: chcieliby być podobni do Casanowy. Sen o potędze nieśmiałego to marzenie o niewierności. Biedni nieśmieli! nie wiedzą, że gdyby udało im się zdobyć kochankę, byliby jej z rozkoszą wierni!

Ale Józef nie miał kochanki. Chciał być jednym z tych mężczyzn, których sobie kobiety wyrywają nawzajem, a tymczasem kobiety zdawały się nie dostrzegać, że był miłym chłopcem, dojrzałym do miłości. Nie był ani brzydki, ani głupi, był przeraźliwie nieśmiały co jest największą brzydotą i największą głupotą. Chciał biec: nieśmiałość pętała mu nogi.

Mówi się często, że dzisiejsze kobiety nie mają tej rezerwy, czy wyczekującej postawy, która dawniej cechowała kobiety, i że często przejmują inicjatywę w miłości. Józef mógłby stwierdzić, że to nieprawda, że to w każdym razie gruba przesada. A właśnie tegoby mu było trzeba: kobiety, któraby go zapragnęła i która samaby mu to powiedziała. Niestety, nigdy takiej nie spotkał. Nigdy jeszcze nie zagadnęła go żadna piękna nieznajoma. I nie było nawet starych piękności, któreby na ulicy przed firmą Mayer i Silverin czekały na wyjście młodych maszynistów, jak niegdyś starsi panowie czekali przed bramami wielkich magazynów na rue de la Paix!...

Nie, nie, nie! mężczyźnie zawsze trzeba odwagi. Józef miał wiele odwagi w myślach, odwagi, która zatrzymywała się na czubkach palców i nigdy nie sięgała ust. Więc ponieważ mimo wszystko nie miał cierpliwości czekać, zdobył się na tyle odwagi, na ile go było stać: napisał.

Podał ogłoszenie w rubryce korespondencji humorystycznego pisemka!

*

Napracował się nad niem bardzo. Chciał, żeby było jednocześnie pikantne, dowcipne i subtelne. I wkońcu wykoncypował takie:

„Spieszcie skorzystać z cudownej okazji! Mało używane zmysły, serce w dobrym stanie, nowego typu, bardzo odpowiednie dla młodej dziewczyny, pragnącej odbywać wycieczki w Krainę Czułości — w niedziele i święta. Oferty pod: Rudolf, skrzynka pocztowa Nr. ....

Napisał Rudolf, bo to brzmi lepiej, niż Józef.

Spodziewał się licznych odpowiedzi. Przynajmniej jak Don Juan, tysiąca listów, naraz. Rozczarował się jednak: zamiast tysiąca było ich tylko trzy. Wszystkiego trzy! I między temi trzema, był jeden, w którym go wyraźnie wyśmiano. List ten był pisany na maszynie i brzmiał: „Oh, Kraina Czułości, jak to pięknie brzmi! Czy nie chciałby mi Pan przesłać stamtąd kolorowej pocztówki?" A mimo wszystko odpowiedział właśnie na ten list.

Rozum zresztą przyznawał rację przeczuciu. Z trzech odpowiedzi ta była najbardziej interesująca. Przedewszystkiem, nie była głupia... bo prawdą jest, że „Kraina Czułości"... brzmi trochę pretensjonalnie... pozatem autorka listu napewno nie była ani bezwstydna, ani chciwa. Sam fakt, że pisała na maszynie dowodził pewnej rezerwy. List był podpisany: „Eliana, skrzynka pocztowa Nr. ...."

Ależ napewno! Była to zapewne młoda dziewczyna, podobna do Józefa, która marzyła o miłości, bojąc się jej jednocześnie.

Odpowiedział na czterech stronicach.

*

W odpowiedzi otrzymał list na ośmiu — ale stenografowany! Czyżby ta osoba nie była ani czuła, ani delikatna, ani skromna? ale poprostu tylko złośliwa? Kawał był rzeczywiście dobry: młody człowiek oczekuje miłosnego listu; otrzymuje go nareszcie; bije mu serce, bo list jest ciężki, otwiera go — i nie może przeczytać! Osiem stron, ale pokrytych hieroglifami! Ach, jaką minę musi mieć ten młody człowiek! Zastanawia się pewnie, co to ma znaczyć... wątpi pewnie, czy te znaki wogóle coś znaczą! Tak, rzeczywiście, kawał jest dobry!

Na szczęście, Józef znał stenografję.

Nie, to jednak nie był kawał... List był przemiły:

„Drogi Panie i podróżniku w Krainę Czułości... Muszę coś Panu wyznać: jestem przesądna. Od chwili otrzymania listu Pana zastanawiam się, czy mam wogóle Panu odpowiedzieć i ponieważ, jak mówię jestem przesądna, postanowiłam, żeby los rozstrzygnął tę kwestję. Piszę Panu stenogram. Jest osiem możliwości na dziesięć, że wcale pan mego listu nie będzie mógł odcyfrować. Jeżeli pan go jednak przeczyta — poddam się, bo znaczyłoby to, że Los sprzyja naszej korespondencji. Jestem, drogi Panie, młodą dziewczyną, która niebardzo przyjemnie spędza szare dni tygodnia. Jestem dosyć samotna. Jestem..."

Józef był pełen zachwytu. A więc zaufała losowi i los skinął łaskawie głową! Los sprzyjał tej przygodzie! (bo rzeczywiście było 8 szans na 10, a nawet 9, 9 na 10, że mógł nie znać stenografji!) Było to zabawne, a zarazem frapujące.

Józef właśnie doczytał do tego miejsca, kiedy pan Mayer wszedł do biura. Łatwo więc zrozumieć, że zmieszał się, kiedy jego szef sięgnął po ten właśnie papier. Był to przecież prawdziwy list miłosny. Pierwszy w dodatku.

*

Wstąpił do wędliniarni, obejrzał szynkę, znalazł, że jest tłusta, mimo to poprosił o pięć plasterków dość grubych. Kiedy przyniósł szynkę do domu, pani Godillet aż krzyknęła, a siostry zaczęły chichotać... Irena była o rok starsza od Józefa, Fernanda o rok młodsza: całemi dniami potrafili się kłócić, zresztą bez prawdziwej złości... Ale dziś Józef nie starał się nawet odpowiadać. Myślał o liście, który mógł wyczuć w kieszeni.

Czytania dokończył, kiedy pan Mayer wyszedł z biura, w kolejce podziemnej przeczytał list po raz drugi. Obraz Eljany nabierał kształtów, jak wywoływana fotografja.

Była blondynką o niebieskich oczach... średniego wzrostu... nie lubi sportu. Była jednocześnie wesoła i czuła. I napewno nigdy jeszcze nie kochała.

Krajał sobie duże kawały chleba i kładł je całe do ust. Jednocześnie układał list, jaki napisze w odpowiedzi.

— Żożo, podaj mi wino, poprosiła pani Godillet.

Nie słyszał.

— Hej, ty gapo! zawołała Fernanda.

Wzruszył tylko ramionami: — Idjotka!

I powrócił do swoich marzeń. Był zgorączkowany, zadowolony, a niespokojny. Pierwsza przygoda!

*

I zaczęła się korespondencja. Pytania, odpowiedzi, wyznania z jednej i drugiej strony: coś w rodzaju tenisa. Inny chłopiec po drugim liście zapytałby: „Gdzie się spotkamy jutro?" Ale Józef nie spieszył się tak bardzo. Przeciwnie. Pierwszego spotkania pragnął, ale bał

(Dokończenie na str 15)

Rudolf

(Dokończenie ze str. 14)

się go jednocześnie. Czuł się o tyle pewniejszy zdaleka!

Spoczątku była to gra. Nie, w pierwszych listach nie było za grosz szczerości. Było w nich sporo kłamstewek. Oczywiście! Chodzi przecież o to, żeby się spodobać, żeby olśnić. Prawdopodobnie, Eljana kłamała tak samo jak Józef, z równą dozą wdzięku.

A potem, potrochu, z biegiem czasu, ton listów uległ zmianie. Zdarzały się jeszcze czasem lekkie żarty, leciutkie drwiny, które pokrywają skromność, — rumieniec duszy, — i które zdarzają się w każdej korespondencji miłosnej, ale powoli Józef — a Eljana także zapewne, zaczynał być bardziej szczery. Wyznań jeszcze nie było, ale można było wyczuć, że szybko nadejdą.

*

Nie! o zupełnej szczerości nie mogło być mowy! Oczywiście wskutek tych kilku początkowych kłamstewek. Kiedy przedstawiło się jako Rudolf, trudno się przyznać, że jest się tylko Józefem. Kiedy — oczywiście nie pisząc tego wyraźnie — kazano się domyślać, że się mieszka w eleganckiej garsonjerze, posiada sportowe auto i spędza latem tydzień w Deauville, trudno jest przyznać się potem, że się jest skromniutkim sekretarzem w firmie Mayer i Silverin, że jedynym dostępnym środkiem lokomocji jest druga klasa w kolejce podziemnej, że mieszka się na piątem piętrze od podwórza w ponurym domu, sypia na składanem łóżku w korytarzu i jest się traktowany jak mały chłopiec w rodzinie bardzo zapobiegliwej, składającej się ze zgorzkniałego ojca, zmęczonej matki i dwóch wiecznie ironizujących sióstr. W tych więc warunkach nawet zwierzenia muszą być bardzo ostrożnie kontrolowane.

Ale wkońcu zaczęły się przecież wyznania. Istniała przynajmniej jedna rzecz, o której można było pisać bez obawy: serce.

A potem listy stały się naprawdę miłosne. Nigdy się jeszcze nie widzieli — już się kochali.

A potem, jeszcze raz zmienił się ton listów. Pragnienie i tęsknota zaczęły w nich dominować.

„Chciałbym mieć twoją fotografję!"

„Nie dam ci jej za nic: rozczarujesz się napewno".

To już było wycofywanie się nieledwie fizyczne. Wieczna ucieczka kobiety, stała postawa, trochę przerażona, trochę prowokująca.

„Jeżeli twierdzisz, że się rozczaruję, musisz być zupełnie pewna, że tak nie będzie".

A mimo to nie posłała mu fotografji. Toby już było oddaniem mu się. Rzeczywiście, jeszcze się bała.

Pisał je: „Dowidzenia, moja najdroższa. Całuję cię leciutko w oczy... w szyję, w usta.

A później: „Widzę cię... Odczytujesz mój list w twoim na klucz zamkniętym pokoju. Leżysz już w łóżku. Słyszysz moje słowa tak, jakgdybym szeptał ci je do ucha. Przez chwilę zdaje ci się, że jestem przy tobie. I jestem przy tobie, i widzę cię. Na dźwięk moich słów, które mówią, jak cię kocham, rozchylają się twoje wargi, wznoszą piersi... Widzę je całe: są okrągłe i różowe i nabrzmiałe... Kładę na nie głowę..."

A ona: „Zabraniam panu pisania podobnych rzeczy. To brzydko. To... mnie... martwi..."

Na to on: „Nie będę ci już tego mówił. Nie warto. Przecież i tak wiesz, jak bardzo cię pragnę! Myślę teraz o tobie zawsze, i w dzień i w nocy..."

Była to prawda. Miewał teraz stałe obsesje. U Mayera i Silverin stukał na maszynie listy handlowe „W odpowiedzi na list WPanów z dnia..." i wyobrażał sobie przytem sceny miłosne. Na ulicy widok każdej ładnej kobiety wprawiał go w niepokój; spostrzegał błysk oka, biel szyji, ruch bioder i wyobrażał sobie, że trzyma w objęciu Eljanę. W domu, podczas posiłków, nie zwracał uwagi ani na ojca, ani na narzekającą matkę, ani na siostry. W milczeniu patrzał na nich tępem spojrzeniem; widział usta, które się poddają, kibić, która się gnie...

„Dziś w nocy śniłaś mi się. Trzymałem cię w ramionach"...

„Jeżeli jeszcze raz ośmielisz się coś takiego napisać, nie odpowiem ci więcej".

Ośmielił się. Odpisała.

*

„Jutro kwadrans po szóstej w parku Montsouris".

Musiało wkońcu do tego dojść. Odsuwał to spotkanie jak mógł najdalej, bo jeszcze lękał się swej nieśmiałości. Pisząc, ośmielał się na wszystko — ale, kiedy się spotka z osobą z krwi i kości, czy nie będzie jak zwykle zawstydzony, jak zwykle skrępowany? Może i nie. Najtrudniejsze są zawsze pierwsze słowa, a te zostały już wypowiedziane. Piśmiennie wprawdzie, ale powiedziane.

Okropny dzień. W południe, przy stole, przez ściśnięte gardło nie przechodził mu żaden kęs.

— Co ci jest, moje dziecko? — zapytała pani Godillet. Nie jesz i tak źle wyglądasz!

— Pewnie przepracowuje się na posadzie! — zaśmiała się Irena.

Wzruszył ramionami, nie odpowiedziawszy jej nawet jak zazwyczaj.

Przed biurem pojechał do parku Montsouris. Szukał w okolicy hotelu. Czuł, że zarumieni się, prosząc o pokój; nie chciał rumienić się w obecności Eljany: zmieszałby się zabardzo. I tak dość trudno przyjdzie mu dostać się tam z nią razem, przejść obok portjera, obok służącego! Wszedł do pokoju, aby się oswoić. Otoczenie więcej, niż skromne. Ale biło mu serce, kiedy patrzał na łóżko, na przybory toaletowe. Był rozkosznie zakłopotany. W kolejce podziemnej dotykał ciągle klucza od pokoju z wewnętrznem zadowoleniem. Nie był już czułym młodzieńcem, ale brutalnym mężczyzną. Myślał: — Byleby tylko nie robiła niepotrzebnych historyj...

Ostatnie jej listy, pełne rozpaczy, dowodziłyby raczej, że była zdecydowana na wszystko.

...Dziesięć przed szóstą, panowie maszyniści w firmie Mayer i Silverin kończyli pracę, nakładali pokrowce na maszyny i zaczynali myc ręce. Józef nie był tym razem ostatni. Z uderzeniem zegara otworzył drzwi, zbiegł po schodach. Pędem dopadł metra. Sięgnął do kieszeni. Czy nie zapomniał róży? Nie. Był to znak rozpoznawczy. Klasyczny znak wszystkich, którzy spotykają się po raz pierwszy. Ale przecież pocałunek jest także klasyczny. I nie warto było zresztą szukać rzeczy niezwykłych. Najważniejsze było, żeby się nareszcie znaleźć. Eljana miała mieć różę przypiętą do stanika, a on miał ją trzymać w zębach. Z różą nie miał kłopotu: w domu wszystkie trzy panie lubiły kwiaty: na stole, przy którym pracowały, zawsze stał bukiet. Ściągnął różę niepostrzeżenie.

Kiedy przyszedł do parku było dwadzieścia po szóstej. Spóźnił się trochę. Eljana będzie już czekać. Tak, siedziała już na umówionej ławce, a róża odcinała się od tła ciemnego kostjumu. Józef podbiegł szybciej...

...Na kilka kroków przed ławką zatrzymał się nagle. To była Fernanda, to była jego siostra!!!

*

Myśl jakaś, błysk nadziei: Fernanda przetrząsała jego kieszenie, znalazła ostatni list Eljany i przyszła... Już chciał krzyknąć: „Idjotko jedna, myślisz, że to dobry kawał?" Ale blada twarz Fernandy pouczyła go o wszystkiem i jej okrzyk:

— Och, więc to byłeś ty!?...

Nie mógł się poruszyć z miejsca. Usta mu drżały. Poczuł, że trzyma w zębach różę. Rzucił ją. Popatrzeli na siebie przez chwilę.

— Tak, to naprawdę ja, powiedział.

Stali tak naprzeciwko siebie. Fernanda patrzyła na niego szeroko otwartemi oczyma. Nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. I nagle ona szybko odeszła.

Upadł na krzesło, na którem siedziała. Oddalała się już. Nie patrzał za nią. Siedział tak przez kilka chwil. Potem sam skolei poszedł.

...Ale wrócić musieli do tego samego domu. Spotkali się przy stole, tak, jak rano, tak, jak codzień: jedno naprzeciw drugiego. Starał się nie patrzeć na nią. Ale trudno jest kogoś nie widzieć, właśnie kiedy się tego chce. Mimowoli widział jej szyję, jej falujące piersi.

Był to napozór spokojny obiad małomieszczański: pan Godillet opowiadał historyjki z czasów swojej młodości, pani Godillet skarżyła się, że mięso podrożało, Irena się śmiała...

Nadeszła pora snu. Józef spał w korytarzu na składanem łóżku, które w dzień nakrywano jakąś materją. Z korytarza wchodziło się do wszystkich pokojów. Naprawo były drzwi do sypialni rodziców, nalewo drzwi do pokoju sióstr. Słyszał głos Ireny. Fernanda nie odpowiadała.

Wyobrażał ją sobie leżącą w łóżku, nieruchomo patrzącą w przestrzeń. Tak sobie wyobrażał w łóżku Eljanę... Wstał gwałtownie, poszukał czegoś w kieszeni marynarki. Miał tam stenografowane listy Eljany... Eljany! Zaciskając zęby, podarł je na strzępy, nie czytając. Ale trudno jest porwać listy tak, żeby jakieś słowo nie wpadło w oczy. Jedno słowo zdołał odczytać. Zarumienił się.

*

I trwało to tak przez dwa miesiące. Nie można mieszkać w jednem mieszkaniu tak, w dodatku małem, nie patrząc na siebie. Fernanda i Józef patrzyli się na siebie, ale spojrzenia ich uciekały, kiedy się tylko spotkały. Nie można być siostrą i bratem, nie mówiąc do siebie. Mówili więc: „Dzieńdobry... Dowidzenia... Podaj mi chleb..."

Pewnego dnia Józef oświadczył, że Mayer i Silverin zaofiarowali mu dobrą posadę w swoim oddziale w Kongo, i że posadę już przyjął.

— Czyś zwarjował? — wykrzyknęła pani Godillet.

— W Kongo? — przeraził się pan Godillet.

Józef uśmiechał się chłodno z wyrazem uporu na twarzy. Kiedy w chwilę później rozkładał w przedpokoju łóżko, weszła Fernanda. Przystanęła na chwilę. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy nie uciekała z pokoju, w którym był. Podniósł głowę. Popatrzała na niego, otworzyła usta i:

— Dziękuję, — powiedziała.

Poczem weszła do swego pokoju...

...Wkrótce po przybyciu do Konga, Józef popełnił nieostrożność i, będąc na słońcu, uniósł na chwilę kask. Ale jedna chwila wystarczy w Kongo, żeby z człowieka zdrowego zrobić trupa...

Kiedy wiadomość o jego śmierci doszła do rodziny, wszyscy dziwili się, że Fernanda miała suche oczy.

— Nie opłakujesz brata? — spytała jakaś krewna.

— Nie mogę! — odrzekła.

I w oczach jej możnaby było wyczytać wstyd, żal i urazę... Bo Józef nie był niczem więcej, a już nie był jej bratem.

„Candide", Paryż.

Rywale króla Jerzego V

Conajmniej trzydzieści osób utrzymuje, że przysługują im większe prawa do tronu angielskiego, aniżeli Jerzemu V.

FRYDERYK STUART

Największą popularnością spośród wszystkich cieszy się niejaki Fryderyk Stuart, sprzedawca warzyw z zawodu, wywodzący swój ród od Karola I. Stuart liczy około dwustu zwolenników, którzy dwa razy w roku zbierają się na uroczystych posiedzeniach. Dla pretendenta ustawia się tron i Fryderyk Stuart odbiera od swych wiernych poddanych należne mu królewskie hołdy.

„KSIĄŻĘ JOHN"

Drugi pretendent zmarł ubiegłego roku w Kalifornji. Nazywał siebie Janem-Jerzym-Edwardem Wittinem i zapewniał, że jest synem Edwarda VII z jego morganatycznego małżeństwa. Z obecnie panującym królem nie nawiązał żadnych stosunków, lecz, po śmierci Edwarda VII, wystosował odezwę do izb parlamentu oraz do narodu angielskiego. W tych odezwach „książę John" deklaruje swoje prawo do tronu angielskiego. Nie pozbawiony chęci materjalnych zysków, Wittin zorganizował biuro, do którego mógł każdy wnieść wkłady w wysokości 100 dolarów, jeżeli życzył sobie w przyszłości być przedstawionym Wittinowi w pałacu Buckingham.

CÓRKA KRÓLOWEJ ELŻBIETY

Biura urzędu cywilnego w Londynie poprostu roją się od pretendentów do tronu angielskiego, którzy wyszukują wciąż nowe dowody swojej królewskiej progenitury. Stale je odwiedzała w ciągu wielu lat pewna staruszka, podająca się za córkę królowej Elżbiety i sira Walter Raleigh'a. Staruszka zachowywała się zawsze bardzo wyniośle i przerywała natychmiast rozmowę z każdym, kto pozwolił sobie na zwrócenie się do niej bez wymienienia należnego jej tytułu.

GŁOWA DOMU PLANTAGENETÓW

Drugim skolei stałym bywalcem biura rejestracyjnego był pewien staruszek, uważający się za głowę domu Plantagenetów. Starzec zapewniał, że Henryk II miał siedmiu synów. Szósty syn zaaresztował młodszego brata i trzymał go uwięzionego w Windzorze. Jeńcowi udało się jednak zbiec z więzienia i ukryć się. Stary dziwak jest właśnie jego synem.

„New York American", Nowy-Jork.

Sowiecki zegar

Na jednym z biurek w redakcji „Krokodyla" stał ładny zegar, wykonany przez fabrykę zegarów Nr. 2. Zegar nie wyróżniał się niczem szczególnem. O godzinie wpół do szóstej wskazywał jedenastą, o jedenastej — kwadrans na trzecią, a pozatem wogóle nie chodził. Zwłaszcza po nakręceniu. Przed nakręceniem — tak samo.

Pewnego dnia zegar znikł. Fakt ten nie zmartwił nikogo. Jedni przypuszczali, że zegar zabrała woźna, by używać go w domu w charakterze żelazka; inni znów — że oszczędny intendent kazał przerobić zegar na popielniczkę.

O zegarze zapomniano.

Nagle... zegar znów znalazł się w redakcji. Powrócił pocztą w starannie zapakowanej skrzynce — cały, nieuszkodzony, jak przedtem ładny i pociągający.

Do zegara dołączona była karteczka treści następującej: „Ostateczność popchnęła mnie do kradzieży zegara z redakcji. Chciałem go sprzedać. Wyśmiali mnie. Nie kupują. Zachowałem go do domowego użytku. Niech go djabli wezmą. Już piąty tydzień nie wiem, która godzina i kiedy jest noc. Nie piję, nie palę, wciąż nakręcam — nie chodzi. A jak zacznie chodzić — to wstecz. Po godzinie czwartej — wskazuje trzecią; po siódmej — wpół do piątej. Zabierzcie go spowrotem.

Adresu nie podaję. Jeszczebyście go odesłali".

„Krokodyl", Moskwa.



We wsi indyjskiej.
Pierwsza nazywa się „Długi nos", druga „Wielkie drzewo". A jak nazywa się ta trzecia? *„Judge", Nowy Jork.*

Palące zagadnienie graniczne

Straż ogniowa a straż celna

We Francji Rząd Narodowy błaga obywateli, ażeby stawiali interesy Narodu ponad wszystkiem. W Niemczech prasa i radjo opowiadają codziennie miljonom obywateli, jak słodką i przyjemną jest rzeczą poświęcać się dla Vaterlandu. A tymczasem na granicy między temi dwoma krajami siedzi sobie wieśniak bez gospodarstwa. Wieśniak ten dzięki doświadczeniu osobistemu przekonał się czem są te nacjonalizmy.

Mieszka on we wsi Scheibenhard. Przez środek wsi przebiega granica niemiecko-francuska. Dom gospodarza znajduje się po stronie niemieckiej.

Pewnego dnia w domu tym wybuchł pożar. Niedbali sąsiedzi, zapominając o bezpieczeństwie i honorze narodowym, zaalarmowali straż ogniową.

Wieś, chociaż należy do dwuch państw, nie może sobie jednak pozwolić na więcej, niż jedną straż ogniową. Przypadkiem straż ta znajduje się po stronie francuskiej.

Straż ogniowa natychmiast wyruszyła w kierunku ognia, którego płomienie buchały już wesoło.

Kilka osób w mundurach wybiegło na drogę i zatrzymało pędzącą straż. Strażnicy dzwonili, wskazując w stronę pożaru. Ludzie w mundurach na środku drogi jednak nie ustępowali.

Byli to — jak się okazało — niemieccy urzędnicy celni oraz straż graniczna. Wyjaśnili oni strażakom, że nie można tak poprostu przekroczyć granicy, gdyż należy wpierw załatwić szereg formalności. Może strażacy są tylko zamaskowanymi przemytnikami? Bądź co bądź, rozkazy są rozkazami, a granica jest granicą.

I gdy dym i płomienie wznosiły się coraz wyżej i wyżej nad płonącą fermą, strażacy zmuszeni byli poddać się należytej rewizji i odpowiadać na badawcze pytania.

Wreszcie uroczyście pozwolono im ruszyć w dalszą drogę. Wszystko więc było w porządku, z wyjątkiem tego, że chałupa tymczasem doszczętnie spłonęła.

„The Clarion", Londyn.

Jak powstają typy pokroju Dillingera?

Źródło zła jest oczywiste i znamy je oddawna. W Stanach Zjednoczonych obowiązuje podwójny kodeks moralny i to zdemoralizowało naród.

Schwytanie Dillingera nie oznacza, że sięgnięto do istotnych przyczyn zła. Dillinger jest tylko objawem, on jest tylko logiczną konsekwencją, życia opartego na jedynej zasadzie moralnej: „Zdobądź pieniądze".

Widzieliśmy co ta dewiza zrobiła z niejednego z naszych bankierów podczas wielkiej prosperity, nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z tego, co ona zdziałała dla każdego z nas, dla całego narodu.

Pewne jest, że jak długo nie będziemy dbali o honor i uczciwość w życiu publicznem przynajmniej o połowę mniej od Anglików, tak długo będziemy musieli płacić haracz korupcji, zbrodni i nieokiełznanej chciwości.

„St. Louis Post-Dispatch"
St. Louis U. S. A.

Goering jako Lohengrin

Pan prezes rady ministrów Goering, nosił podczas uroczystości siedemsetlecia miasta Emmerich nowy mundur: śnieżno-biały surowy jedwab od stóp do głowy. Do tego szeroka czarna, srebrem przetykana szarfa, na której wisiała ładownica z czerwonego juchtu i kosztowny, złoty sztylet honorowy. Od prawego ramienia do najwyższego guzika bluzy były rozpięte szerokie złotem przetkane sznury, w brunatnym jedwabnym krawacie jaśniała czarna perła. Na białej jedwabnej czapce widniało godło państwowe.

Lewa pierś była pokryta orderami, z największem odznaczeniem naszej ojczyzny „Pour le merite".

Niczem srebrny łabędź odcinał się pan prezes rady ministrów od brunatnych postaci swojego otoczenia, a jego uśmiech jaśniał jak złoto.

„Emmericher Tagblatt", Emmerich.

Żydzi, jako przynęta na Olimpiadzie

Dr. Carl Diem, sekretarz generalny niemieckiego komitetu olimpijskiego, złożył francuskiemu dziennikarzowi nader charakterystyczne oświadczenie, wskazujące na to, jak w Niemczech starają się zamaskować panujący antysemityzm i używa się nawet Żydów, jako przynęty w celu zapewnienia sobie udziału amerykanów w Olimpiadzie w Berlinie.

Amerykanie nie dali dotychczas żadnej konkretnej odpowiedzi na niemieckie zaproszenie na Olimpiadę w 1936 roku. Prezes amerykańskiego komitetu olimpijskiego uda się wkrótce osobiście do Niemiec, aby przekonać się na miejscu, czy Trzecia Rzesza zamierza i na Olimpiadzie stosować swoje teorje rasowe, czy nie. W związku z tem dr. Diem oświadczył:

— Zasady rasizmu nie obowiązują wcale w dziedzinie przygotowań do Olimpiady, ani podczas niej. Ja mogę tylko powtórzyć to, co Dr. Lewald oświadczył we Wiedniu i w Atenach. Wszyscy niemieccy i zagraniczni sportowcy i atleci, którzy odpowiadać będą warunkom olimpijskim, będą mile widziani w Berlinie. Myśmy naprzykład powołali żydowskiego sportowca Rudi Ball'a na oficjalnego członka niemieckiej drużyny hokejowej na lodzie. Dalej zawiadomiliśmy już cztery miesiące temu, studjującą obecnie w Kalifornji, Helenę Mayer, że została ona postawiona na czele naszej drużyny szermierczej. Widzi Pan więc, z jaką lojalnością Niemcy są gotowe spełnić swoje zobowiązania zaciągnięte we Wiedniu.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

Solingen leży w Japonji

W Azji Przedniej japońscy eksporterzy ofiarują wielkie ilości noży i ostrzy. Mimo nieprawdopodobnie niskich cen, noszą te wyroby stalowe markę fabryczną „Solingen". Czy jest to może oszukańczy manewr kupiecki?

Z uśmiechem pokazują agenci handlowi mapę Japonji: niedaleko Tokio leży miasto przemysłowe imieniem „Solingen" tam wyrabia się stal. Przedtem wprawdzie miejscowość ta nazywała się inaczej i niekoniecznie wyrabiała ostrza stalowe, ale potem za zgodą rządu zmieniła ona nazwę na Solingen. I wszystko jest w porządku.

Azjatyckie metody? Handel starego świata kiedyś był niemniej bezwzględny, oszukiwał Wschód najgorszemi gratami, ciągnął krwawe zyski z handlu opium i materjałami wojennemi i dławił swoją przewagą wszelkie próby rodzimej produkcji azjatyckiej. Otóż Japonja okazuje się i w tej dziedzinie pojętnym uczniem.

„Europeische Hefte", Praga.

Redakcja: Warszawa, Króla Alberta 1 Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta 1 Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mieś. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sass. **Wydawca: Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.